Nr. 8. Lwów, dnia 1. Sierpnia 1887. Rok X.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

NA STANOWISKU.

OBRAZEK SCENICZNY W JEDNYM AKCIE

napisał

WŁADYSŁAW hr. KOZIEBRODZKI.

OSOBY:

JADWIGA.
MAURYCY.
GŁOSY ZA SCENĄ.

(Scena przedstawia las w jesieni; kilka drzew pośrodku, po bokach krzaki, przez które przechodzi ścieżka; na pierwszym planie po prawej kłoda powalonego drzewa).

SCENA I.

MAURYCY (sam).

MAURYCY (w stroju myśliwskim z dwoma strzelbami patrzy na prawo za kulisy i śmieje się robiąc ręką znaki pożegnania).

Do widzenia!... ha!... ha!... wyborne!... wyborne!...

GŁOSY ZA SCENĄ.

Tak! tak, zakochany!

MAURYCY (mówi za kulisy).

Dobrze, przyjmuję zakład, a jeżeli przepuszczę chociażby jednego nikczemnego szaraka, to wasza wygrana i poddaję się waszym warunkom... Tylko nie radzę na to liczyć mili towarzysze, ha!.. ha!...

GŁOSY ZA SCENĄ (coraz ciszej)

Liczymy... liczymy... zakochany... zakochany...

MAURYCY (rozgląda się dokoła i strzelby opiera o drzewo).

Oni swoje zakochany i zakochany! ten szaławiła Edmund zawsze musi coś wymyślić. Ale mu się odwdzięczę przy sposobności. (Po chwili). Wcale dobre stanowisko, przedemną gęstwina, (wskazuje na prawo) tam droga leśna, (wskazuje na lewo) tutaj mały wąwóz, jakby umyślnie stworzony dla lisa (zamyśla się). Prawdę jednak mówiąc, to od wczoraj dzieje się ze mną coś dziwnego... muszę przyznać, iż nie mam zwykłego spokoju... no!... ale przecież dla tego jeszcze lisa nie przepuszczę — (patrzy w głąb sceny). Te gałęzie zawadzają, trzeba je połamać (idzie w głąb sceny, łamie kilka gałęzi i zamyśla się trzymając gałęzie w rękach). To niespodziewane spotkanie wczoraj Jadwigi, obudziło wszystkie dawne wspomnienia, bo też i wyładniała jeszcze... (podnosi ręce w górę z gałęziami). O! wyładniała! (Patrzy na gałęzie, które trzyma w rękach) Coś się unoszę! (rzuca gałęzie). I te oczy brru!... jakie ona ma oczy!... Jak spojrzała!... no!... no!... tylko się nie rozmarzać, co się stało, to już się stało. (Po chwili idzie w głąb sceny i znów łamie gałęzie). I czyja wina? czyja wina? proszę? czyja wina?... Wszak wszystko

składało się jak najpiękniej, rodzice przyjmowali mnie chętnie. Ciocie pozwalały sobie rączki całować, a Jadwiga chociaż obojętna niby, ale patrzała wcale przychylnie; na każdym balu tańczyłem z nią kotyliona, wybierała mnie w mazurze i poczciwy światek lwowski już nas oświadczył, zaręczył i stanowczo żenił. Bo też kochałem Jadwigę! (Gestykuluje rękami, w których trzyma gałęzie). Kochałem! o tylko ją jedną w życiu! (Patrzy na gałęzie i rzuca z niechęcią). Tylko bez uniesienia, wszak wszystko minęło i tak dawno! (Po chwili staje przed drzewem i przypatruje się w głąb). Tu stać nie najlepiej, trochę gąszcz za wielka; spróbuję pod drugiem drzewem. (Bierze strzelby, idzie do drugiego drzewa i strzelby opiera). Miałem się oświadczyć na balu u rodziców Jadwigi, wszyscy już o tem mówili, tak było ułożone, gdy w tem... (Urywa, nadsłuchuje i żywo bierze strzelbę do ręki). Coś się ruszyło... (Nadsłuchuje chwilę i strzelbę odkłada). Zdawało mi się... nie ma nic... Otrzymuję telegram od Zygmunta, iż ma otropionych u siebie czternaście dzików, mówię czternaście dzików!... (Zaczyna chodzić po scenie). Walka rozpoczęła się we mnie szalona, o! bo kochałem Jadwigę, ją jedną w życiu!... Jechać? czy nie jechać? a tam czternaście otropionych dzików!... (Staje). Myślę w końcu: dziki czekać nie będą, a Jadwiga przecież zaczekać może. Wszak znałem głębię uczuć moich, moją miłość dla niej, a jestem stały, nie oświadczę się dziś, to oświadczę jutro — nie na tym balu, to na drugim — a dziki pójdą!... Pojechałem!... (Z zapałem). Co to było za polowanie!... Zrobiłem tripletę z dzików, na drugi dzień polujemy dalej, zabijam ogromnego odyńca... na trzeci dzień zabijam dwa odyńce... Przepyszne polowanie! Trzeba przyznać, iż Zygmunt polowanie urządzać umie. Powracam szczęśliwy do Lwowa, aż tu znajduję sytuacyę zupełnie zmienioną. Jadwiga nie chce do mnie mówić, wychodzi przed kotylionem, rodzice nie przyjmują, wszystkie ciocie rączki usuwają — wszyscy mnie unikają, nikt nie chce dać żadnych objaśnień, ani tłumaczeń!... O! myślałem, że mi serce pęknie!... (Ze złością). O! kobiety! kobiety! (Po chwili chodząc po scenie). Z rozpaczy powróciłem do Zygmunta szukać u niego rady i pociechy, i znalazłem znów w kniejach stada dzików i przepolowaliśmy resztę karnawału. Ale cierpiałem! o! cierpiałem strasznie! — Zabiłem sporo dzików i rogaczy, ale obraz Jadwigi stał mi ciągle przed oczami. (Idzie w głąb sceny i machinalnie łamie gałęzie). W poście dowiedziałem się, iż Jadwiga już po deklaracyi z Michałem. (Łamie gałęzie w rękach ze złością). Chciałem sobie w łeb palnąć, ale poczciwy Zygmunt czuwał nademną, wziął mnie z sobą w góry na niedźwiedzie... potem pojechaliśmy na głuszce... Ale cierpiałem... strasznie cierpiałem!... (Po chwili). I poszła za Michała... poszła za Michała, za człowieka, który nigdy w życiu nie siedział na koniu!... (Z naciskiem). Podziwiać ten gust kobiecy!... za człowieka, który strzelby nigdy w życiu nie wziął do ręki, a zwierzynę lubił namiętnie — ale tylko na półmisku... nie do uwierzenia!... i to Jadwiga!... ta Jadwiga!... (Po chwili). Takie one wszystkie... kaprys, kokieterya... same nie wiedzą czego chcą, łudzą nadzieją, każą się kochać... a potem wiatr się zmienia, zjawia się jakiś pan Michał z dobrym apetytem i dobrymi dochodami, szlachcic wprawdzie, nudny, ale spokojny... i do ołtarza! ha!... ha!... do ołtarza!... piękny mąż!... (Po chwili). Piękny mąż! podobno raz najadł się głowizny z dzika i dostał apopleksyi... zginął od dzika — piękna śmierć!... (Po chwili). O! zawód ten wyleczył mnie od wszystkich uczuć na zawsze, pas... pas... o ile można jak najdalej od zdradnych uśmiechów i zwodniczych spojrzeń — już po raz drugi nikt mnie więcej nie złapie. — Strzelba wierniejsza... ta mnie nigdy nie zawiedzie, naturalnie jeżeli ładunki sam porobię... To też nie ma jak lasy! knieje! błota!... nie ma jak polowanie!... (Po chwili). Jednak wczoraj na widok Jadwigi dawne wspomnienia powróciły silnie... i serce kilka razy ściskało się jakoś głupio... anim się tego spodziewał. Ba! bo też wypiękniała — i nabrała jakiegoś nieopisanego wdzięku... i tak patrzała na mnie temi dużemi oczami jak dawniej... ależ bo ma oczy! brru! (Po chwili). Zdaje mi się, iż to Marya tak ukartowała, abyśmy siedzieli przy sobie przy obiedzie... bo mi się zdaje, iż Marya coś z daleka kartuje!... ho!... ho!... pas!... cierpiałem już dosyć!... To też postanowiłem trzymać się ostro!... pokazać zupełną obojętność... raz tylko nalałem wody i milczałem dumnie. (Po chwili). Nie warto o tem myśleć. (Chodzi po scenie i gwizda po cichu). Z razu i Jadwiga widocznie była także pomięszaną, ona taka rezolutna i rozmowna zawsze, a jak głos jej posłyszałem... (Urywa, nadsłuchuje i patrzy bacznie w głąb sceny). Zdaje mi się, iż teraz słychać coś naprawdę... (Powoli bierze strzelbę i odwodzi kurki). Tak!... to lis, a bratku, wymykasz się pocichu, winszuję lasu... (Składa się do strzału i stoi chwilę spokojny). Cofnął się... miał dobre przeczucie. (Opiera broń o drzewo). Jadwiga wkrótce jednak stała się rozmowną, ożywioną, uprzejmą, jak to dawniej bywało, kiedyśmy tańczyli kotyliona. Ale Michał stał mi przed oczami ciągle, i moje cierpienia!... o!... bo też cierpiałem!... a prawdę mówiąc... czy mi to i teraz bardzo wesoło?... (Nuci po cichu i chodzi po scenie). Ale trzymałem się ostro! jak najobojętniej. Ona o literaturze, a ja na złość o lisach, ona o malarstwie, a ja o wilkach, ona coś o przeszłości... a ja o dzikach... długo o dzikach, a jak wspomniała, iż jedzie na całą zimę do Włoch, odrzekłem z szyderstwem, iż nie pojechałbym tam nigdy, bo nie ma na co polować, chyba na tarantule i skorpiony. Aż umilkła... i zdaje mi się, iż miała łzy w oczach. — (Z gniewem). O! one umieją mieć na pogotowiu łzy w oczach, ale jak my cierpiemy, to się śmieją... (Po chwili). A jednak wściekły byłem na siebie... Najgorszy to już był wieczór, jak zaczęła grać na fortepianie... i wróciły żywo wszelkie wspomnienia tych dni, w których grywała tak samo... a ja szczęśliwy słuchałem. Nie wiem co mi się działo, ale uciekłem... (Po chwili). Po co to wszystko wspominać!... (Po chwili). Jak ona gra!... przepadam za muzyką... a takiej gry słuchałbym bez końca... co to za czar!... jaki ten Michał musiał być szczęśliwy!... uciekłem aż do ostatniego pokoju i coś mnie dusiło w sercu. Gdym powrócił spytała mnie, czy już nie lubię muzyki?... Co to ją obchodzić może? — Ba! jutro rozjedziemy się!... może i na zawsze... (Po chwili). Ot! głupie życie! (Patrzy na lewo za kulisy). Co to? ktoś tutaj idzie?... a dziękuję za tę niespodziankę! (Przypatruje się więcej i idzie za kulisy). Ale tak, ktoś idzie... Czy być może?... ona?... a!...

SCENA II.

MAURYCY. JADWIGA.

JADWIGA (w eleganckim myśliwskim ubiorze z parasolką w ręku).

Pana spotykam?.. a powiedziano mi, iż spotkam tutaj pana Stanisława.

MAURYCY.

Stanisław poszedł z myśliwymi na dalsze stanowiska. Ale zkądże pani w lesie? (N. s). Jakaż śliczna w tym stroju!...

JADWIGA.

Marya ułożyła projekt., abyśmy wyjechały z śniadaniem dla panów do lasu...

MAURYCY.

Już z śniadaniem?... ależ to za wcześnie...

JADWIGA.

Nie moja wina...

MAURYCY.

O! zupełnie nie obwiniam panią. (n. s.) Przecudowna!

JADWIGA.

Dziękuję za wyrozumiałość...

MAURYCY.

Wszak dopiero dwa mioty wzięte.

JADWIGA (z uśmiechem).

Przepraszam, dwa... czego?...

MAURYCY.

Mioty... proszę pani, mioty, a jeżeli pani pragnie, to zaraz wytłómaczę..

JADWIGA.

Dziekuję... mioty... już się domyślam. (Śmieje się). Lecz pan Stanisław polecił, aby śniadanie było jak najwcześniej.

MAURYCY.

A to łakomiec!...

JADWIGA.

Dobry przyjaciel z pana..

MAURYCY.

Naturalnie, gdyż mówię zawsze prawdę.

JADWIGA.

Za oczami.

MAURYCY.

W oczy powiedziałbym mu daleko więcej...

JADWIGA.

Na przykład?

MAURYCY.

Iż prawdziwy myśliwy na polowaniu nie powinien grzeszyć łakomstwem, iż to obraza...

JADWIGA.

Dosyć! dosyć! przecież go tutaj nie ma — a miałam zamiar pozostać przy nim i przypatrzeć się polowaniu.

MAURYCY (z radością).

Jak to? a więc pani polowanie lubi?

JADWIGA.

Nie wiem, nie byłam dotąd jeszcze na żadnem.

MAURYCY (żywo).

Czy być może?! w pani wieku?

JADWIGA (z uśmiechem).

Dziękuję!

MAURYCY.

A! przepraszam!... (n. s.) Te oczy! te jej oczy!

JADWIGA.

Nie gniewam się, wieku mego nie taję.

MAURYCY.

Ja polowałem mając lat dwanaście, już w dziesiątym strzelałem wrony.

JADWIGA (z uśmiechem).

Widocznie przymówka do mojego wychowania...

MAURYCY (zimno).

Bynajmniej, pedagogiką się nie zajmuję, wychowuję tylko bażanty i kuropatwy.

JADWIGA.

Zapewne z wielkiem powodzeniem...

MAURYCY.

Jak do roku! nawet i ptaki niestety nie łatwo wychować dobrze...

JADWIGA (śmieje się).

Prawda!... a cóż dopiero ludzi!... czy tak?...

MAURYCY.

Ha! być może...

JADWIGA.

Wyobrażam sobie, jak wielkiem cierpieniem musisz pan taki zawód okupywać...

MAURYCY (z goryczą).

To nic nowego dla mnie...

JADWIGA (pomięszana).

Czy tylko dla pana?... (Chwilę stoją pomięszani).

MAURYCY (n. s.)

O! trzeba się trzymać!...

JADWIGA (z naciskiem).

Ale przypuszczam, iż wszystkie takie doznane cierpienia, niezawodnie polowanie osładzać musi prędko.

MAURYCY.

Tak jest. Wy zaś panie macie zapewne inne lekarstwo, daleko skuteczniejsze.

JADWIGA.

Być może, ale o tyle lepsze i pożyteczniejsze, iż nie odrywa od wszystkich obowiązków i nie absorbuje całego życia...

MAURYCY.

Ho!... ho!... jakiż ostry sąd i wyrok potępienia...

JADWIGA (przerywając).

Potępiać prawa nie mam, a wiem, iż sąd mój nikogo obchodzić nie może... gdyż...

MAURYCY.

Gdyż?...

JADWIGA.

Gdyż każda namiętność ma swoją własną logikę, której się tylko trzyma...

MAURYCY.

Ależ dlaczego tak straszne rzucone na polowanie anatema!... Wszak na świecie, w życiu!... wszyscy tylko polują, różnica cała, czem?... i na co?...

JADWIGA.

Śmiałe twierdzenie!

MAURYCY.

Ale prawdziwe. — Proszę się tylko temu wielkiemu mrowisku ludzi przypatrzyć — to jedno wielkie polowanie, ci polują na sławę, tamci na majątek, ci na zaszczyty... tamci na posagi... ci na popularność, tamci na znaczenie... ha!... ha!... Pani, wszyscy polują! i to najczęściej bronią fałszu, podstępu, obłudy, kłamstwa — dziwnie to wszystko wstrętne!.. niegodne! poniżające!... Nie!... nie!... jeszcze polowanie nasze wśród lasów, kniei... z strzelbą w ręku... najszlachetniejsze pewnie... (Słychać za sceną cichy głos trąbki).

JADWIGA.

Wymownie bronisz pan...

MAURYCY (przerywając).

Pst... słyszy pani... Sygnał, zapewne polowanie się zaczyna.

*

JADWIGA.

O! to uciekam... (idzie ku prawej).

MAURYCY.

Nie w tę stronę, bo tam myśliwi stoją.

JADWIGA.

I będą strzelać?

MAURYCY.

A naturalnie...

JADWIGA.

I pan będzie strzelał także?

MAURYCY.

Byle było do czego!

JADWIGA (żywo).

A ja się tak strzałów boję!... Co robić? W którą stronę uciekać? O, wskaż mi pan ścieżkę prędko... prędko...

MAURYCY (wskazuje na lewo i bierze do ręki strzelbę).

Zdaje mi się najlepiej tędy, na lewo...

JADWIGA.

Dziękuję! i życzę szczęścia.

MAURYCY.

Ojoj!... tego nigdy!...

JADWIGA.

Nie chce pan życzliwego słowa odemnie?...

MAURYCY.

Najgorszy prognostyk.

JADWIGA.

Żartuje pan...

MAURYCY.

W myśliwstwie żartów nie ma.

JADWIGA.

Chyba dla tych, którzy je biorą tak na seryo w życiu. — To przepraszam i żegnam. (Wychodzi szybko).

SCENA III.

MAURYCY (sam).

MAURYCY (patrzy długo za Jadwigą).

Odeszła!... i odeszła pogniewana. Ale bo też byłem grzeczny i uprzejmy, nie ma co mówić... Ale jaka śliczna, zachwycająca w tym stroju myśliwskim. (Nadsłuchuje, po chwili). Jakiś widocznie fałszywy alarm, pogonka jeszcze nie rusza. (Po chwili). Pięknie się znalazłem, nie można piękniej! byłem szorstki, niedelikatny i ciekawym dla czego?... (Chodzi z gniewem po scenie). A jak jej do twarzy w tym małym myśliwskim kapelusiku... nigdy nie była piękniejszą, do malowania... I chciała się przypatrzyć polowaniu, a kto wie, możeby i nabrała gustu?... coby to był za prześliczny towarzysz! — coby to było, gdyby... (urywa) no!... no!... a pan Michał!... o ten Michał!... (Po chwili). I patrzała na mnie tak dziwnie... a głos jej szedł mi tak do serca — było w niej coś tak nieokreślonego... była tu ze mną! przy mnie!.. a ja najobojętniej wskazałem jej ścieżkę, którą ma sobie odejść. — O! to niegodne! (Z gniewem). Wściekły jestem na siebie! — (Po chwili). W tem wszystkiem co mówiła był często jakiś odcień żalu... goryczy — a spojrzenie było nieraz takie, jak to dawniej — gdyby ona?... marzenie! (Po chwili). O! postąpiłem niegodnie! i to wszystko dla tych podłych lisów... (Po chwili). Odeszła!... ba?!... a jeżeli się zabłąka w lesie... prawda!... jeżeli się zabłąka?... a jeżeli się jej coś stanie... tak! jeżeli się jej co stanie? tego dopuścić nie mogę... tak! tak! tego dopuścić nie mogę. Nie mam się co namyślać — muszę ją dogonić, odszukać... koniecznie. (Wybiega szybko na lewo).

(Dokończenie nastąpi).

Drugi urywek z niewydanego poematu:

„ŚWIĘTY HUBERT“

napisał

L. hr. Starzeński.

Czarna dola myśliwska już dla nas nadchodzi,
Marzec — wielki wróg łowców — na tę ziemię schodzi.
A za nim słychać lodów pękających brzęki,
On każdemu strzelcowi broń wytrąca z ręki,
On błagania naszego ze wzgardą nie słucha
I na resztki ponowy ciepłem tchnieniem dmucha.
Więc myśliwy, na widok takiego mocarza,
Broń zawiesza, i chwyta się do kalendarza
Myśliwskiego, by poznać, czy ten tyran przecie
Nam choć jakiejś zwierzyny nie zostawia w świecie.
Ale próżno! Co strzelać on nam dziś pozwoli,
To się jeszcze w Egipcie lub w Syryi kryć woli.
Więc wobec tego wierzyć teraz mam przyczynę,
Że on w swoją opiekę wziął w kraju zwierzynę.
Chociaż on w swej opiece dziś właściwie trzyma
Tylko taką zwierzynę, której jeszcze nie ma,
Jednak jego życzeniom niech się zadość stanie;
I chętnie moją strzelbę zawieszam na ścianie.
Ale jego następca — Kwiecień — jakim będzie?...
Czyż i on ma myśliwych dręczyć w każdym względzie?...
O! nie, on będzie lepszym, tak mi się wydaje,
To monarcha, co jakąś konstytucyę daje.
Słonek strzelać nie wzbrania, ni głuszca na toku;
On też dla myśliwego jest pełnym uroku.
Potem Maj, Czerwiec, Lipiec, to owe miesiące,
W których każdy myśliwy zna sprawy rażące
Z tą ustawą łowiecką, arcy przechwaloną,
Lecz którą chwalą tylko niemyśliwi pono!
A jednak na jej straży my stoimy wiernie,
Choć nam ciągle do skroni nowe wbija ciernie.
Więc ty, Święty Hubercie! myśliwych Patronie!
Co zasiadasz tam w górze na Wszechłowców tronie!
Rzuć okiem na Galicyę, na te jej ustawy,
Czyż Ci mróz nie przebiegnie zaraz wszystkie stawy?

Tyś Patronie! zajęty gdzieś był inną sprawą,
Gdy nasz Sejm nad łowiecką pracował ustawą.
Byłbyś spostrzegł, że owi, co ustawę piszą,
Szmeru lasów, ni stepów szemrania nie słyszą.
Że znają księgi obce. Na wszystko drażliwi —
Lecz to byli z pewnością jacyś niemyśliwi!
Nauk pewno przeróżnych nabyli bez liku,
Ale tylko przy swoim zielonym stoliku.
Pewno żaden z nich nie zna naszych puszcz powiewu,
Ani w górach nie słyszał głuszcowego spiewu.
Za niedźwiedziem nie śledził śród Karpat urwiska,
Nie podchodził jelenia podczas rykowiska.
Pracy poznać łowiectwo on sobie nie zadał,
Bo on je nie w przyrodzie, ale w książkach badał.
Ty nasz Święty Hubercie! — dziś wzdrygasz się pewnie
I nad biedną Galicyą może płaczesz rzewnie,
Że ustawa łowiecka w ziem naszych obszarze,
Przez pół roku nam lisa też oszczędzać każe!
W skutek tego ten zbrodniarz bez wielkiej mitręgi,
Przez pół roku bezkarnie niszczy ptaków lęgi.
O! Hubercie! ty na to miałbyś sposób łatwy:
Pod opiekę w Galicyi Ty weź kuropatwy!...
A rój ptaków przeróżnych co przez kraj gdzieś leci,
Ona każe oszczędzać, jak swe własne dzieci!
Ale za to zająca, chcąc dobrze hodować,
Piętnastego już Września pozwala mordować!
Dzielni łowcy zbiegają wtedy okolice,
I strzelają na polach od dziatek samice.
A nie wiem, czy ustawa się też nad tem pora,
By tym biednym sierotom nadać kuratora? —
Nasz Patronie Hubercie!... Twe serce gorące:
Przed ustawą w opiekę weź nasze zające!

Albo też stary rogacz — jak w haremie Pasza,
Co młode Odaliski wdziękami odstrasza,
Że nareszcie zszedł z pola, zbyt dobrze pojmuje,
Młodych swoich rywalów z zazdrości morduje.
W Marcu, w Kwietniu i w Maju nikt tu nie ma prawa
W łeb mu strzelić. Dla czego? Bo broni ustawa!
Patrz! Hubercie! Czyż pracy nie jest to plon marny?
Przed ustawą w opiekę weź i nasze sarny!...

A kaczka — stawów naszych wieczna koczownica —
Czemuż jej dola jakaś lepsza nie przyświeca?
Przez świat jak błyskawiczny pociąg zawsze jeździ,
Lecz się na stawach naszych wiernie co rok gnieździ.
Czemuż nasza ustawa tak się z nią chce zwijać?
W Czerwcu kaczkę od młodych pozwala zabijać!!
Wszak to wszyscy myśliwi przecież dobrze znają,
Że w pół Lipca podloty zaledwo latają.
Nasz Patronie Hubercie! Pomny na tę szkodę
Przed ustawą w opiekę weź kaczęta młode!

Na borsuka — czas łowów — na honor nie kłamię —
Jest Październik, Listopad, wtedy gdy spi w jamie!!...
Ja doprawdy już tego wcale nie pojmuję,
Że ustawa nicponiów takich proteguje!

A więc Święty Hubercie! Ty się wstaw za nami!
I ty w kraju pokieruj naszemi łowami!
A ci, którzy ustawę tę poprawiać będą,
Niech Twego doświadczenia na chwilę nabędą.
I niech się jako łowcy wytrawni okażą
I błędy w Kalendarzu łowieckim wymażą.
Niechaj mniej się zajmują przelotną ptaszyną,
Ale się zastanowią nad kraju zwierzyną.
Z ptaków są: „kuropatwa“, „głuszec“, „cietrzew“, cele,
I „jarząbek“. To nasi są obywatele...
Tego strzeż! W niego zawsze twa czujność niech mierzy.
Każdy inny od pory i wiatrów zależy.

Podszepnij im Hubercie Święty! że na lisy
Winny być jak na innych zbrodniarzów przepisy.
Każdy ich, gdy obaczy, aresztuje, chwyta,
Lub w łeb strzela, lecz w którym miesiącu, nie pyta.
A ze starym rogaczem, co szkodę wyrządza,
Niech się lasu właściciel jak chce rozporządza.
Lecz zabicie młodzika, niech tak ściąga grozę,
Jakby kto (co dziś rzadko), jakby zabił kozę.
Przebacz Święty Hubercie! Gdym kozę wymienił,
Czuję, żem się przed Tobą jak mak zaczerwienił,
Żem się tu o zwierzynie podobnej wyraził,
Czuję, żem Twój Majestat myśliwski obraził.
Wszak to naszej ustawy zasługą wspaniałą,
Że o kozach zabitych u nas słychać mało.
To jest prawdą! A jednak powiem Ci Patronie,
Że się w kraju wydarza i w niejednej stronie,
Że po kilka kóz pada podczas polowania,
A delegat nie przyszle o tem sprawozdania,
I Starostwo nic nie wie — gdzieś wszystko się skryje
I tak mówią: „Nikt w kraju u nas kóz nie bije“!
Więc Patronie! podszepnij radcom od ustawy,
By wglądnęli dokładniej nieco i w te sprawy,
A gdy kto prośbę poda o stu kóz wybicie,
Co mu tak lasy niszczą, zatruwają życie,
Niech odrzucą tę prośbę, bo ona zamierza
Na sprzedaż li zyskowną szlachetnego zwierza,
I ten staje się łupem rządcy, leśniczego,
Bo nikt na tem nie złapał pana myśliwego.
Bo myśliwy wie dobrze, że jego dziedziny
Dziesięćkroć mogą więcej wyżywić zwierzyny;
Niżeli jej posiada, a więc w żadnym względzie
Swą zwierzyną z pewnością frymarczyć nie będzie.

* * *

Jeszcze Ci coś Patronie dziś powiem w sekrecie
I to coś, o czem pewno jeszcze nic nie wiecie:
Oto Sejm nasz chce wkrótce nową rzecz uradzić:
Na wzór pruski chce karty myśliwskie wprowadzić.
Nie potrafię powiedzieć, jaki cel w tem mają,
Chyba może Bismarka tak bardzo kochają.
I jego politykę głęboko pojmują,
Że we wszystkiem Prusaków chętnie naśladują.
Z tych kart ta będzie korzyść dla myśliwych braci:
Każdy kilka guldenów co roku zapłaci;
Tylko strzelec porządny tę kartę zdobędzie,
Bo kłusownik bez karty bić zwierzynę będzie.
A podatek ten nowy przez nas nałożony,
Dla Ministra finansów jakby wymyślony!
Nikt nie będzie miał prawa narzekać na niego,
Że podatki nad miarę ściąga z kraju tego.
Słusznie powie nam teraz: „Chcieliście?... więc macie!
„Wszak podatki na siebie sami nakładacie“!
Sam się zdziwi z pewnością, co to nam się stało,
Że nam jego podatków dziś jeszcze za mało. —

Więc Patronie! przestrogę Tobie dam w tej mierze:
Zapolować w Galicyi gdy cię chętka zbierze,
Pojedź wprzód do starostwa, choć to wielkie nudy,
I o kartę myśliwską postaraj się wprzódy,
Bo inaczej — to mogę Ci zaręczyć z góry,
Z żandarmami mieć będziesz ciągłe sekatury.
Skoro tylko spostrzegą spojrzeniem wprawionem,
Żeś ty niekłusownikiem, lecz łowców Patronem,
To, gdy będziesz polował, zawsze cię spotkają,
I o kartę myśliwską święcie zapytają.
Ale gdybyś (co rzeczy bynajmniej nie zmieni)
Nie miał na ten podatek guldenów w kieszeni,
(Bo to u nas w Galicyi rzecz wcale nie nowa),
Nikt się pewno nie zdziwi, nie powie ci słowa.
Otóż gdybyś podatku spłacić nie był w stanie,
Radą mogę Ci moje w tem powiedzieć zdanie:
Karty wcale nie kupuj! Nie zdradzę przed nikim,
A Ty Święty Hubercie! zostań kłusownikiem.
Strzelaj wtedy co zechcesz w polach, czy w dąbrowie,
Ręczę, żaden Ci żandarm za to nic nie powie.
Ty się dziwisz zapewne, że to może nęcić,
Tak na siebie samego ciągle bicze kręcić!
Lecz u nas to wymyślać chęć zawsze się budzi,
Co bywa sekaturą na porządnych ludzi. —

Podkamień w Marcu.

Stefan Batory jako myśliwiec.

Obrazek rodzajowy na tle wieku

przez

ADOLFA PAWIŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Kwitnęło także i w Polsce sokolnictwo w wiekach średnich, jako ulubiona naszych królów zabawa. Niejeden możnaby tu przytoczyć szczegół, który się dochował w dyplomatach naszych, oraz różnych przywilejach. Za czasów jednak ostatnich dwu Zygmuntów sokolnictwo na dworze, jak nam się widzi, podupadło. Wprawdzie polowała z sokołami królowa Bona, ale sam król Zygmunt z powodu podeszłego wieku już snadź nie smakował w tej zabawie. Zdaje się, że i Zygmunt August nie był wielkim lubownikiem... tych... zwyczajnych myśliwskich sokołów. Wiadomo bowiem, że nauczyciel jego, Opaliński, nie chciał królewicza wprawiać do łowów z sokołami, twierdząc, że tam wśród takiej zabawy młody umysł tylko się okrucieństwem przejąć może. Z tem wszystkiem jednak nie brakło służby myśliwskiej, oraz sokołów na dworze starzejącego się Zygmunta I., oraz jego syna następcy. Przekonywają nas o tem księgi wydatków podskarbstwa nadwornego, w których spotykamy rok za rokiem wiadomości o myśliwcach, łowczych i sokolnikach na dworze królowej Bony, a później i na dworze Zygmunta Augusta. Są nawet wskazówki, że ostatni na tronie Jagiellończyk nieraz wyprawiał wystawne zabawy myśliwskie i sam także w lasach niepołomskich polował, lub w puszczach litewskich [1]); ale nie widać ze szczupłego zastępu nadwornej służby łowieckiej, z ograniczonych wydatków na wyżywienie kilku sokołów, iżby się był kochał w ptakach łownych, tak jak się kochał w pięknych koniach, iżby się oddawał z zamiłowaniem myśliwstwu, jak się oddawał n. p. skupowaniu drogich kamieni, klejnotów i innych błyskotek.

[1]) Niekiedy trwały takie łowy kilka tygodni. W 1551 r., w niejakim czasie po śmierci Barbary, wyjeżdża Zygmunt August z Wilna dnia 15. Sierpnia „w łowy do Wygrów“, bawi tam całe cztery tygodnie. Raz bierze król od nadwornego komornika „na grę kartową w lesie kopę (groszy), z której przegrać raczył 40 groszy“. (Regestra skarbowe z 1551 roku). W następnych latach jeździ na polowanie do Olkinik, Rudnik (rok 1560), Kaniowej. W późniejszych latach już rzadko spotykamy wiadomości o jego wyprawach na łowy.

Wnosiłbym przeto z tych okoliczności, że sokolnictwo w Polsce na dworze Zygmunta Augusta zaczęło w ogóle upadać, pod koniec zaś jego rządów upadło stanowczo, jak nas o tem przekonywają nietylko rachunki wydatków nadwornych, ale cały sposób życia kilku lat ostatnich świetnego króla. Widocznie o tym smutnym stanie sokolnictwa nadwornego musiał mieć wiadomość Henryk Walezy, bo kiedy przybył do Krakowa, przywiózł z sobą z Francyi ułożone jastrzębie. Wodzicki, który przytacza bez bliższego wskazania źródła tę okoliczność, dodaje, że musiało być nie małe zdziwienie nowego króla, kiedy ujrzał w kraju nieskończoną ilość sokołów i jastrzębi wybornie unoszonych, a w sokolarniach królewskich nierównież lepsze, niżeli przywiezione ze sobą łowne ptaki [1]).

Nie chcę temu przeczyć, że Henryk znalazł za przybyciem do Polski więcej sokołów, jak sam przypuszczał i lepiej unoszonych niżeli jastrzębie, które przywiózł z sobą, chyba k'woli okazałości tylko, bo sam myśliwcem z zamiłowania nie był; ale co do sokolarni królewskich, to śmiem bardzo wątpić o ich zaludnieniu. Przynajmniej kiedy we dwa lata później stanął w Krakowie Stefan Batory, to na dworze królewskim, jak się okaże jasno i dowodnie z następnych naszych opowieści, stanowczo nie było ani sokołów, ani jastrzębi, ani psów legawych, ani sokolników. Wszystko poszło w rozsypkę. Wszystko rozprószyła zawierucha polityczna dwóch lat ostatnich. Nowy król zastał samych niedobitków: nietylko sokolarnie puste, ale co gorsza — skarb pusty. A ktoby tam był, powiedzmy sobie otwarcie, łożył na sokoły, rarogi i krogulce, kiedy sokolnicy i ptasznicy, co jeszcze z dawniejszego czasu byli, sami nie mieli co jeść.

Już w krótkim czasie po swojem przybyciu do Krakowa w 1576 roku, zaczął Stefan na nowo zapełniać przerzedzone szeregi myśliwców i ptaszników nadwornych, ale królowi szło ciężko, jak na dorobku, a to głównie z po-

[1]) O sokolnictwie str. 93.

wodu wycieńczenia skarbu. Wszędzie krucho, wszędzie się rwało, potrzeb zaś było bez liku. Po kilkutygodniowym pobycie w Warszawie zamierzył Batory ruszyć ku Prusom, aby je zmusić siłą do złożenia sobie hołdu. Na samem niemal już wyjezdnem zgłaszają się do króla łowcy i myśliwi nadworni i na piśmie żałobliwie go proszą, aby im zasługi kazał wypłacić i wydać im przynależne na przyodziewek sukno; błagają wreszcie usilnie, aby im nie odmawiano pieniędzy, które przypadają z ordynacyi na mięso dla żywienia ptaków [1]).

Jeżeli więc były jeszcze jakie sokoły na dworze i jeżeli je głodem morzono, o czem świadczyć się zdaje lament myśliwców, to pytamy, czego się tam można było spodziewać na polowaniu po wychudłych, wynędzniałych ptakach? Zresztą możemy nawet twierdzić dość śmiało, że z początku nie było na dworze żadnych sokołów, a jeśli się ptak jaki łowny znalazł, to chyba jastrząb lub krogulaszek.

Wielcy i możni panowie mieli oczywiście sokolarnie, a szczególniej w Wielkopolsce i w województwach pruskich, ale z początku Prusy opierały się uznanej już powszechnie władzy Stefana, więc na ofiarność magnatów pruskich i szlachty tamecznej wiele liczyć nie było można. Wprawdzie w innych częściach kraju znalazł się ten i ów, co lubo biedniejszy, podzielił się z królem, kiedy spostrzegł, że mu tem może przyjemność sprawić i łaskę jego sobie zaskarbić. Już w pierwszym roku przysłał Stefanowi niejaki pan Chłopicki w podarunku jastrzębia i kilku sokołów rarogów [2]). Król wdzięcznie przyjął ofiarę, ale takich kilka ptaków nie mogło przecież wystarczyć na potrzeby zapalonego myśliwca.

Wprawdzie umiał sobie radzić Batory, nawet w nierównie trudniejszych sprawach. Nie lękał się on żadnych przeszkód. Przeszkody tylko więcej hartowały jego wytrwałość. Łamał on inne lody i walczył z innemi i strasznijszemi siłami, jak z brakiem ptaków łownych. Więc też powoli i myśliwstwo zorganizował na dworze. Posłał najprzód tedy na Węgry i ztamtąd niebawem sprowadzono sokoły. Ale jak się komu nie wiedzie, to się nie wiedzie. Nieszczęście mieć chciało, że się niedługo niemi cieszono. Sokoły gdzieś odleciały, czyli mówiąc po myśliwsku odstąpiły króla. Chciano widocznie raz wypróbować ich lotu i zdolności, a tu mądre ptaki jak się wzbiły w powietrze, tak już nie wróciły. Pewnie poleciały tam, zkąd je przywieziono, czy też gdzieindziej, dość, że przepadły. Wyprawiono za niemi na zwiady harcerza, ale poszukiwania, jak się zdaje, nie przyniosły pożądanego skutku [3]). Już to sokoły niejednemu takiego spłatały figla.

Tymczasem z dalszych stron nadeszły w tym samym jeszcze roku podarunki. Książę pruski, lennik korony polskiej, przysłał królowi kilku unoszonych sokołów [4]). W Królewcu oddawna utrzymywano sokolarnie, które były sławne niemal na całą Europę. Miały one za sobą daleką i dobrą tradycyą, jeszcze po mistrzach krzyżackich z Malborga, którzy swego czasu prym trzymali między miłośnikami zabaw łowieckich z sokołami. Jak tam dalej sobie król radził wśród tych trudnych początków, tego nie wiemy, ale w każdym razie to pewna, że niezapomniał o polowaniu i szukał w niem rozrywki i wytchnienia w czasie ciężkiego kłopotu z upornym Gdańskiem, albo w czasie owego sejmu toruńskiego, kiedy jesienią 1576 roku trzeba było wyjednać u szlachty zezwolenie na pobór, czyli wybranie podatku na potrzeby wojenne.

Ponieważ jeszcze nie było przyszło do wojny z Gdańszczanami, bo ciągnęły się długie z nimi rokowania, więc nastręczała się nieraz sposobność pożądana, z której też korzystano skwapliwie, aby z ludnego miasta nadmorskiego sprowadzić różne przybory myśliwskie. To i owo się tam kupiło, a między innemi trzy psy medyolańskie, które wojewoda brzeski, pan Jan Służewski, w podarunku ofiarował królowi [1]). Kupiono także sukna na pokrycie, czyli na opony dla psów, może dla chartów. W pierwszym też roku musiał zapewnie Batory poprzestawać tylko na dorywczem a skromnem polowaniu. To z krogulaszkiem poszedł na kuropatwy, to przejechał się z chartami na zająca, to może z rusznicą lub oszczepem poszedł na grubszego zwierza w leśnych stronach piasczystych okolic Torunia, albo szczwał lisa lub gonił wilczyce,

„w pańskiej puszczy ku Sztumu, gdzie się cudno rodzą“,

jak opisuje swoje polowania Bielawski, który tak dokładnie pod tym względem znał tamte strony.

W następnym roku nie szło pomyślniej z zabawą łowiecką. Nastała ciężka pora wojny z Gdańskiem. Brak było pieniędzy, wojska najemnego mało, dział nie wiele. Kłopotów co niemiara. Wszystkie usiłowania trzeba było wytężyć, aby złamać opór hardego miasta. Więc miał król o czem pamiętać. Zaczęło się latem oblężenie Gdańska, życie w obozie, praca ciężka. Gdzie tam wtedy myśleć o sokołach. Tylko przed wojną, to tak czasami, dorywczo, król sobie zapolował. Oto w połowie Marca, kiedy w Bydgoszczy w 1577 roku jechał do Włocławka na walną naradę z senatorami, stanął dla odpoczynku i rozrywki na jeden dzień pod Inowrocławiem i cały też dzień 19. Marca spędził na łowach. Prawdopodobnie zatrzymał u siebie w gościnie Stefana możny pan w owych stronach, pan Górka, kasztelan międzyrzecki, jeśli się nie mylę, który posiadał znakomitą sokolarnię i snać swemu monarsze tę miłą i pożądaną przysposobił zabawę [2]).

Dopiero powoli z biegiem czasu, w dalszych latach panowania króla, powstają coraz inne i trwalsze związki łowiectwa nadwornego i coraz też pełniej się rozwijają. Zwiększają się szeregi myśliwców królewskich, tworzy się zwolna szkoła układania sokołów, mnoży się liczba psów różnych gatunków, przybywają z zagranicy sprawni sieciarze, którzy wielomilowe siecie przyrządzają. Po ukończeniu też pomyślnem wojny z carem Iwanem oddał się

---

[1]) Ks. asygn., 3. Aucupes et venatores ad thesaurum, d. 6. Augusti 1576.

[2]) Źródła dziejowe, IX., str. 86.

[3]) Tamże, str. 69.

[4]) Tamże, str. 88.

[1]) Zr. dziej., t. IX., str. 84. Canes mediolanenses adductos et donatos... (a nie adductis). Coby to był za rodzaj psów medyolańskich, pomimo starania nigdzie dowiedzieć się nie mogłem od osób świadomych spraw myśliwskich. Żadnej wskazówki nie znalazłem w tej mierze w dziełach tak specyalnych, jak n. p. H. de la Blanchère: „Les chiens de chasse“. Paris 1875. William Youatt: „The Dog“, London 1872 i in., których mi łaskawie udzielił prof. Wrześniowski. Otrzymałem także pośrednio od prezesa sławnego klubu myśliwskiego w Paryżu objaśnienie że w całej Francyi takiej nazwy nie słyszano. Medyolańskie zaś psy nie są przecież zmyśleniem, skoro tę nazwę polską spotykamy i w regestrach skarbowych już za Zygmunta Augusta. Podobnież i na dworze petersburgskim w XVIII. wieku trzymano pod zarządem myśliwych psy, zwane medyolańskiemi. (Istoricz. Wiestnik, 1881 r., m. Sierpień, Wrzesień i Październik).

[2]) Źródła dziejowe, t. IX., str. 114, IX. B. str. 12.

Batory z całą swobodą w chwilach wolnych swojej ulubionej rozrywce, korzystając z owoców kilkuletniej zabiegliwości.

Później, kiedy szlachta zaczęła gorętszem sercem kochać swego bohatera, nie mógł się istotnie król skarżyć na brak z jej strony ofiarności, ze strony również i panów polskich lub lenników Rzeczypospolitej. Ciągle przybywały zewsząd hojne podarki. Opatrywał króla w sokoły po kilkakroć to książę pruski, to książę kurlandzki, który posiadał nie mniej sławne sokolarnie, jak Fryderyk Jerzy w Królewcu [1]). Panowie podobnież przynosili w darze lub przysyłali sokoły, jak kasztelan wołyński w 1583 roku, pan Starzechowski, starosta wyszogrodzki. Zawsze to były wspaniałe i kosztowne dary. Ale do królewskich łowów i tak częstych, jak je lubił Batory urządzać, potrzeba było mieć więcej sokołów niż te, które tam z cudzej, choć hojnej łaski dostawały się do komory.

Więc z konieczności wypadało pomyśleć o założeniu na miejscu wyższej szkoły łowienia ptaków, czyli sokolarni. Sprowadzono zatem do Grodna dwóch Niemców, nie wiadomo zkąd, może z Prus, może z Kurlandyi. Jeden nazywał się Wilhelm Ludwik, a drugi Ewehard Schmalder. Przyjęto ich w roku 1581 do służby nadwornej, zapewniono znaczne wynagrodzenie albo honoraryum i mistrzom tym dwom poruczono kierownictwo — akademii sokolnej [2]). Miał zapewne król u siebie gniadoszęta, bo zdarzały się wypadki, że nawet wieśniacy przynosili w darze dzielnemu bohaterowi takie małe gnieźniki, jak Cygański nazywa sokolęta [3]). Prócz tego kupiono zarazem od owych dwóch mistrzów niemieckich siedm już unoszonych sokołów, zapłaciwszy za sześć samic po 30 złp. — samice były zawsze droższe jako przedniejsze, a za samca jednego 20 ówczesnych złotych.

Żeby lepiej ocenić wartość, a raczej wysokość tej ceny, szczegół zaś ten może tu nawet obudzić pewne zajęcie, pozwolę sobie przytoczyć okoliczność, że gdyby król był chciał zbożem zapłacić owym Niemcom sokolnikom, musiałby był dać za jednego sokoła 120 korcy żyta, a w razie braku zboża, albo parę koni roboczych, albo trzy lub cztery karmne woły [4]). Obliczając zaś na dzisiejsze ceny, wypadałoby zapłacić za sokoła: zbożem około 600 rubli, końmi 400 rubli, wołami również po 400 do 500 rubli. Możemy więc za średnią cenę w stosunku do wartości dzisiejszej przyjąć wartość sokoła, równającą się mniej więcej pięciu set rublom. Łatwo teraz zrozumieć, że ofiarowanie królowi kilku sokołów było już istotnie wspaniałym darem. Nie trudno też pojąć, że przy takiej wysokiej wartości unoszonych sokołów, tylko wielcy panowie mogli ponosić nakłady na zbytkowne sokolarnie. Był to też właściwie rodzaj myśliwskiej zabawy, która najwięcej królom przystała, ztąd też i pewien gatunek przednich a rzadkich sokołów otrzymał nazwę królewskich. Nazywają się one po francusku *faucons royaux* — po polsku białozorami.

Do owej tedy zawiązującej się szkoły sokolej zakupiono siedm takich królewskich sokołów, czyli białozorów od owych dwóch Niemców sokolników. Wskazują rachunki z tego samego 1581 roku, że z rozporządzenia króla wydano na zakupienie innych jeszcze sokołów 100 złp., które przedstawiają wartość taką jak 400 korcy żyta. Sztuka układania sokołów rozwinęła się była wysoko w ciągu długich wieków starannej jej uprawy nie tylko w całej Europie, ale i na Wschodzie, w Arabii, w Persyi i innych mahometańskich krajach. Wprawdzie istniały uczone dzieła o sokolnictwie, pisane nawet przez koronowane osoby [1]), ale teorya nie mogła nigdy zastąpić praktyki, wprawy i doświadczenia. Trzeba więc było dobrze płacić za tę wymyślną naukę ptasią.

I Batory, choć zawsze bardzo oszczędny, nie mógł skąpić grosza, skoro raz postanowił urządzić u siebie sokolarnię i pomnożyć liczbę sprawnych sokołów do swej jedynej, jaką miał, rozrywki myśliwskiej. Zgodził się więc płacić dwom profesorom sokolim, nie licząc utrzymania na cztery konie, rocznie każdemu po 204 złp., czyli zbożem po 816 korcy żyta. Gdyby to było w obecnym czasie i żyto z owego wieku płaciło stosunkowo tak dobrze jak w teraźniejszej dobie, toby wypadło, że sokolnik brał gotowizną samej pensyi co najmniej cztery tysiące rubli. Takie wydatki mogli oczywiście ponosić tylko wielcy panowie.

Nie tu miejsce rozpisywać się o tem, jak długą była ta nauka, jak mozolnem nauczanie sokołów. Zna te rzeczy wybornie Cygański i wiele trafnych w swem dziełku udziela spostrzeżeń, które dziś już, jak łatwo się tego domyśleć, nie mają praktycznej doniosłości i tylko jeszcze obchodzą tych, co się wyłącznie poświęcają dziejom ptasznictwa. Kto ciekaw tych spraw, tego odsyłamy do owych uczonych traktatów [2]). Dla nas wystarcza w krótkości nadmienić, że cała edukacya sokola polegała na tem, żeby unosić, jak powiada Cygański, sokoła, uwabić go, wkarmić i ostatecznie ułożyć do łowienia, kiedy się z nim w pole wyjedzie.

Nie dość mieć sokoły unoszone. Trzeba mieć i psy legawe, któreby wystawiając ptaka lub zająca, dawały myśliwcom znać, iż trzeba trzymać w pogotowiu sokoły do podlotu. I ta strona łowiectwa nadwornego była w zupełnem zaniedbaniu za przybyciem Stefana do Polski. Zwolna tylko mnożyła się psiarnia królewska. Wprawdzie o wyżły legawe nie było tak trudno jak o białozory. Dobrego psa dostał nawet taniej jak najlichszego sokoła lub krogulaszka. Kupiono raz dla dworu królewskiego psa myśliwego i zapłacono 2 złp. ówczesne, czyli wartość ośmiu korcy żyta. Przysyłali też Batoremu często w darze psy legawe to różni panowie polscy, to książę kurlandzki, to inni książęta zagraniczni. Hojnemi bardzo okazali się w tym względzie książęta szląscy, którzy po kilkakrotnie obdarzali naszego króla psami myśliwemi: to opolski książę, to lignicki, to książę na Brzegu. Uczcił także Stefana i książę austryacki Ferdynand, w 1582 roku podobnym podarkiem [3]).

Używał król do polowania, jak się już wyżej nadmieniło i psów medyolańskich. Raz nawet w r. 1580 sprowadzono dla niego umyślnie psy włoskie z Etruryi czyli Toskanii, a kiedy w 1582 roku jeden z nadwornych komorników czyli posłańców wiózł listy do królowej angielskiej

[1]) Źródła dziejowe, t. IX., str. 131 i następne.
[2]) Tamże IX. B. str. 54.
[3]) Tamże str. 91, 92, r. 1582.
[4]) Zob. ułożoną przez nas tablicę cen i wartości srebra za Batorego, w dziele Skarbowość w Polsce, 1881 r. 463.

[1]) Cesarz Fryderyk II Staufen. De arte venandi cum avibus.
[2]) Wodzicki o sokolnictwie i wyżej przytoczone dzieła francuskie.
[3]) Źródła, IX., str. 27, 89, 92, 119, 120.

Elżbiety, dał mu Batory 30 złp. na zakupienie w Anglii psów, może chartów angielskich [1]). W rachunkach dworu spotykamy również wzmianki o psach umyślnie sprowadzonych z Malborga w 1583 r., a następnie z Węgier do Grodna w 1586 roku [2]).

Tradycya wielkich łowów snać zaginęła na dworze polskim, kiedy w 1582 roku trzeba było aż do Królewca posyłać do księcia pruskiego z prośbą o przysłanie sieciarzy, którzyby mogli popsute sieci naprawiać, może jednę z owych „trzeciomilnych", jak je Bielawski nazywa, których na żubra używano, albo jednę z tych, jaką zaczęto w Grodnie

[1]) Źródła, str. 83.
[2]) Tamże, str. 122 i in.

przygotowywać, a której, o ile wnoszę z przygodnej notatki, nie można było dokończyć dla braku wprawy [1]). Prośbie króla stało się zadość. Przybyli istotnie do Grodna *artifices et magistri retium ferinarum*, a więc mistrze biegli w swej sztuce i niewątpliwie, dzięki ich zręczności i wprawie ziściło się pragnienie króla. Była i wielka sieć łowiecka, może i niejedna z rodzaju owych „trzeciomilnych" [2]).

Dość jednak tych szczegółów zakulisowych. Wejdźmy teraz na szeroką widownię zabaw myśliwskich, aby zobaczyć nareszcie, jak i gdzie im się oddaje dzielny Batory.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) Źródła, str. 79.
[2]) Tamże, str. 80.

W EUROPIE.

Przez

A. de la Rue.

(La chasse illustrée tł. J. Ł.)

(Dokończenie.)

Francya. Od czasu wprowadzenia pisma *Journal des chasseurs* przez Leona Bertranda przed niemal pół wiekiem, aż do pojawienia się pisma *La chasse illustrée* przed laty piętnastu, współpracownicy tych dwóch pism, a byli między nimi znakomici, nie szczędzili nieustannie usiłowań i wszelkich zasobów swej wiedzy i znajomości rzeczy, aby wskazywać rządowi przerażająco nagły upadek zwierzostanu we Francyi. Nikt go tak żałośnie nie wykazywał, jak Toussenel w swych *Tristia*. Literatura łowiecka w swych początkach podpierana była przez znakomitych pisarzy Alexandra Dumasa, markiza de Foudras, hr. d'Houdetot, Józefa Lavallée i innych, nie mniej znanych. Jakkolwiek myśliwi we Francyi nie wiele czytają, a mniej jeszcze abonują, to jednak jedyne pismo myśliwskie, jakie mieliśmy, wielce się zasłużyło sprawie zwierzyny w ogólności, a w szczególności sprawie łowów wyścigowych *(chasse à courre)*, których było prawie wyłącznym organem, zaprawdę niewłaściwie.

Jest rzeczą pewną, że w skutek skarg i narzekań na wzrost kłusownictwa i częste zabójstwa straży leśnej, jakie prasa myśliwska wykazywała, zniewolone było prawodawstwo prawie mimowoli postanowić prawo niedostateczne z 3. Maja 1844. Po 35letniej walce, poświęceniu, wytrwałości i wysiłku woli dyrektora pisma, musieli owi współpracownicy wyrzec się pracy, która ich tylko narażała na koszta, a *Journal des chasseurs*, nie mając abonentów, upadł z braku sił żywotnych. Ale prasa łowiecka, mająca w sobie siły żywotne, nie miała stanowczo upaść, podźwignęła ją silna dłoń jednego z najznakomitszych naszych wydawców i nie dozwoliła na okrycie nas wstydem, iż jedyny organ myśliwych nie mógł się utrzymać. Wydawcą tym był Alfred Firmin Didot, a pismem przez niego publikowanem *La chasse illustrée.* Obecnie staje się ta piękna publikacya cenną encyklopedyą, obejmującą wszystkie sprawy myśliwskie, opracowane przez najkompetentniejszych pisarzów. Rzekłem wyżej, że *Journal de chasseurs* zajmował się bardziej łowiectwem, *Chasse illustrée* zaś, nie zaniedbując łowów wyścigowych, przedewszystkiem podawała swoje i myśliwych z prowincyi doświadczenia, odnoszące się do myśliwstwa z bronią ognistą. Zdawało mi się potrzebnem, a w każdym razie zajmującem, wskazać, z jakiemi trudnościami prasa łowiecka walczyć musiała, nim zapuściła korzenie, choćby tylko z tego powodu, aby wyrazić naszą wdzięczność tym, którzy ją podtrzymywali i podniecali.

Wiodłem czytelnika przez różne kraje, w których mógł dostrzedz, że niektóre rządy szczerze się zajęły administracyą łowiectwa w ogólności, uważając tę sprawę jako rzecz dobra publicznego. Obecnie mając już różnorodne motywa do porównania, rozpatrzmy nasze położenie:

1. Prawodawstwo, osłaniające nas niedostatecznie, ułożone chyba dla ambarasowania sędziów.

2. Urzędnicy nie odważający się wystąpić z całą surowością, pobłażający kłusownikom, podziwianym przez naszych włościan, którzy często są ich wspólnikami i przechowywaczami zdobyczy.

3. Udzielanie pozwoleń na polowania we wszystkich lasach całego państwa, nie wyjmując parcel rezerwowych, nienaruszalnych i przeznaczonych na miejsce ochronne dla zwierzyny, jak to czynią Szwajcarowie.

4. Administracya lasowa, zdająca się chcieć wytępić zwierzynę w naszych lasach, niestety podpierana przez licznych nieprzyjaciół myśliwstwa, nieświadomych zupełnie sprawy, tyczącej się łowiectwa i zwierzyny.

5. Pożałowania godna obojętność administracyi lasowej dla tępienia zwierząt szkodliwych, których tępienie jest najpewniejszym, najskuteczniejszym środkiem zapobieżenia upadkowi zwierzostanu.

6. Otwieranie polowania i pozwolenie strzelania do wszelkiej zwierzyny w jednym czasie, czem się dzieje, że

zajęczyce jeszcze kotne, młode bażanty, niezdolne do lotu, bywają chwytane przez psy, z wielkiem zadowoleniem ich właścicieli.

7. Najścia myśliwych kłusowniczych z dniem otwarcia polowania, którzy włóczą się bezprawnie po miejscowościach, w których myśliwstwo nierozumnie zupełnie zaniedbane, gdzie też wszystko bezwzględnie się morduje.

8. 350.000 posiadaczy pozwoleń do polowania, z których większa połowa nie posiada ani piędzi ziemi, więc nie dba o ochronę zwierzyny i wybija co tylko może.

9. Upodobanie w polowaniu z nagonką, które się szerzy wszędzie, a szczególnie w okolicach Paryża.

10. Udoskonalanie nieustanne broni myśliwskiej.

11. Nadzwyczajna rzadkość dobrej straży lasowej, mimo szkół, w których 30.000 nieuków, którzy strzegą naszej własności, powinniby wyuczyć się swych obowiązków, o jakich nawet wyobrażenia nie mają.

12. Zawiść i zła wola, na jakie narażeni są posiadacze wielkich obszarów, chroniący zwierzynę, ze strony nic nie znaczących myśliwych, którzy nie poczuwają się do obowiązku szlachetnego postępowania, ubijają kury hodowane przez swych sąsiadów, którym zawdzięczają niewielką liczbę zwierzyny, jaką u siebie posiadają.

Po tem zestawieniu i wyliczeniu tylu zarzutów nie tylko rządom lecz i myśliwym, nie możemy powstrzymać się od ubolewania nad tak smutnym stanem rzeczy, który niestety z każdym dniem się wzmaga. Proszę czytelnika, posądzającego mnie może o pessymizm i przesadę, niech przeglądnie roczniki *Chasse illustrée*, w każdym niemal numerze, a jest ich już 750, znajdzie przynajmniej jeden artykuł lub urywek, w których autor wykazuje z żalem smutny stan naszego łowiectwa i naszej zwierzyny. W celu bliższego rozjaśnienia tego stanu, niech służą cyfry ile możności zbliżone do prawdy. Francya zajmuje przestrzeń około 55 milionów hektarów i liczy prawie 10 milionów wyborców, z których 350.000 uzyskało pozwolenie polowania. Przypada więc $3^1/_2$ myśliwych na 100 wyborców, a każdy z tych myśliwych może polować na 150 niemal hektarach. Jeżeli się odliczy przestrzenie nieuprawne, drogi, kanały, miasta, wsie, w ogólności wszystko, co nie może hodować zwierzyny, 100 hektarów na jednego myśliwego, i jeżeli się przypuści tylko jedną sztukę zwierzyny na hektara, od jelenia, dzika i kozła, aż do przepiórki i kszyka, nie mówiąc o zającach, królikach, bażantach, kuropatwach, kaczkach i wszelkiej przeciągającej zwierzynie; daje to nam pokaźną cyfrę, przynajmniej 100 sztuk na jednego myśliwego. Ileż z nich bije? przynajmniej dwa razy tyle. Nie mniej też jest rzeczą pewną, że 55 milionów sztuk zwierzyny, ocenionej po 1 franku, daje cyfrę 55 milionów. Nie byłożby niedorzecznością po tym wywodzie utrzymywać jeszcze, że myśliwstwo jest tylko rozrywką arystokratyczną, sprawą błahą, wywołującą większy rozgłos, jak ona zasługuje. Co do nas, mniej uprzedzonych i bardziej rozważających, powiemy, że rozrywka, dająca 55 milionów przedmiotów, służących jako zdrowe pożywienie dla powszechności, godną jest uwagi, i że prawo uważające zwierzynę jako własność publiczną i czyniące właściciela jej odpowiedzialnym za szkody, wyrządzane przez zwierzęta do niego należące, będzie prawem mądrem i logicznem, sto razy logiczniejszem, jak nierozumne *res nullius* Rzymian.

Rosya. W kraju, zajmującym 20 milionów kilometrów kwadratowych, zamieszkanym przez 83 milionów mieszkańców, gdzie mówi się 40 różnymi językami, posiadającym jeszcze niezmierne przestrzenie lasów, bezgranicznych stepów, podległych rozmaitym klimatom, zapełnionych różnorodną zwierzyną, począwszy od żubrów i białego zająca, aż do głuszca i płochliwej pardwy; w takim kraju, w takich warunkach myśliwstwo może się odbywać tylko w sposób niezwyczajny, w ubraniu odrębnem, z bronią osobną, musi się różnić i istotnie w niczem nie jest podobne łowiectwu w Europie. Nemrodowie wykwintni, w gładkich rękawiczkach, w jedwabnych pończochach i lakierowanych bucikach, czyż są podobni do rosyjskiego myśliwego, który wyruszając na łowy, idzie jakby na wojnę i nie zawsze jest pewnym, ażali wróci z niej cały. Zetknąłem się ostatniej zimy u naszego znakomitego redaktora z młodym bojarem, który poluje od czasu, gdy zdołał władać strzelbą. Jedno tylko opowiadanie przerażające z tych, jakie od niego słyszeliśmy, mogłoby na śmierć zatrwożyć najdzielniejszego z naszych myśliwych. Czy wiecie, w jaki sposób obwieścił obywatel z nad brzegów Newy panu Bellecroix przybycie swe do jego lasów? Przysłaniem prawdziwego czarnego niedźwiedzia. Widziałem jego skórę w willi d'Asnières, jest ona na 3 metry niemal długą.

Łowy w Rosyi mają swe niezwyczajne piętno, często imponujące, które wzrusza i podnosi ducha do owych czasów bohaterskich, gdy myśliwy uzbrojony w niedołężny łuk, nie wahał się nacierać z przodu na dzikiego zwierza, kiedy on jeszcze w Europie przebywał, którego reprezentantem w naszych czasach jest tylko żubr czy tur i niedźwiedź, który tem jest dla łowca rosyjskiego, czem zając dla francuskiego myśliwego. Mówię o żubrze czy turze, co zresztą obojętne, nie chcąc na nowo podnosić tej ważnej kwestyi zoologicznej, w której naturaliści żadną miarą nie mogli się pogodzić, wolę przypuszczać wraz z doktorem Baumerem, że żubr nam pozostał, nie tur, który był odmiennem zwierzęciem. Niech za mnie przemówi znakomity uczony: „W okolicach Grodna nad Niemnem istnieje ogromny obszar, w części bagnisty, z wielkimi stawami i niezmiernym rozłogiem lasów pierwotnych, zapełnionych żubrami, niedźwiedziami, wilkami, rysiami, łosiami, lisami i bobrami. Dano tej miejscowości miano Puszczy Białowieskiej. W pewnej części rodzi się obficie nader wonna roślina *(anthoxantum odoratum)*, którą żubry bardzo lubią, jest ona ich codziennym przysmakiem. Według opowiadania w skutek pożarów wiele żubrów szukało schronienia w dalszych lasach kraju. Po słoniu jest żubr największym z zwierząt czworonożnych, pierś jego jest silna, nogi grubsze i krótsze jak naszego wołu, ale krzyże szersze, ogromna głowa, uzbrojona w dwa rogi, nie bardzo wielkie, wygięte i lśniąco czarne, między tymi rogami znajduje się kosmyk twardego włosa, spadający ku czołowi. Oczy duże, czarne, dzikość wyrażające. Grzywa spada po obu stronach karku, który jako też pierś pokryte są włosem kędzierzawym, ogon jest krótszy, więcej kosmaty i bardziej obrosły twardym włosem, jak u wołu domowego. Na wiosnę i w jesieni włos zmienia barwę, w zimie jest czarno brunatnym, w lecie lśniąco czarnym, wtedy żubr jest w całej swojej piękności. Ostatecznie jest to zwierzę bliskie zaguby, liczba jego zmniejsza się z każdym rokiem, mimo najsurowszych nakazów ochraniania go. W roku 1820 liczono ich jeszcze 500, obecnie nie ma więcej jak 200 (P. R. Mylne cyfry,

według wykazów urzędowych przeszło 700). Cesarz rosyjski z dworem poluje raz na rok na żubry. Car umieszczony bezpiecznie, a cały pułk żołnierzy z narażeniem życia kieruje pochód zwierza ku niemu. Ledwie kika kul, wymierzonych w głowę, kładzie go trupem, ale hr. Waldstein zabił 27. Listopada 1883 żubra jednym tylko strzałem“.

Wspomniałem już, że rosyjscy myśliwi wyprawiają się z taką łatwością na zagrażające życiu polowanie na niedźwiedzia, jak my Francuzi na króliki, co jest istotną prawdą, jak świadczy następujący wypadek: W ostatniej zimie wyruszyli hr. Solms i d'Offburg do Rosyi, w celu zapolowania na niedźwiedzie. Odpowiednio we wszystko zaopatrzeni założyli główną swoją kwaterę we wsi przylegającej do lasów, w których miały być niedźwiedzie. Rezultat sześciodniowych łowów od 1. do 7. Marca był świetny, ubito 13 starych niedźwiedzi, a 7 młodych schwytano żywych. Miejscowi włościanie, pełniący niebezpieczną czynność obławy, zachwyceni są do dzisiaj zimną krwią i zręcznością owych dwóch myśliwych, hr. Solms nie chybił ani razu. Pięć rubli płacono od każdego niedźwiedzia tym, którzy go na strzał skierowali. Przyznać należy, że z powodu głębokiego śniegu, w którym niedźwiedzie po krzyże zapadały, strzały były łatwe, jako też pogoń psów. Mam pod ręką wykazy, które dowodzą, że Rosyanie osiągają jeszcze lepsze rezultaty, jak owi dwaj niemieccy myśliwi.

Danija, Szwecya i Norwegija. Już samo wspomnienie tych krajów przejmuje chłodem, czuje się śnieg chłostający. A jednak poluje się tu, nawet wiele. Szwedzi, Norwegczycy są zręcznymi i dzielnymi myśliwymi, którzy tysiącami ubijają niedźwiedzie, wilki, rysie, rosomaki, sobole, lisy, których futra tak są poszukiwane. Jaką minę mieliby tam nasi myśliwi, przywykli do alei gracowanych parków, do dróg bitych w naszych lasach? Przyznajmy w pokorze, my nie jesteśmy usposobieni chodzić po śniegu z deskami u nóg, aby pędzić za renami, lub żywić się wędzoną rybą. A jednak znałem ziomków, którzy pociągali za cyngiel bez drzenia do norwegskiego niedźwiedzia. Ci wybrani, ci uprzywilejowani przez św. Huberta, czynią nam zaszczyt, ale zdarzają się tak rzadko, że nie wchodzą w rachunek.

Norwegija ze swemi skalistemi wyspami, nawidzanemi przez foki, z swemi górami dziwnej formacyi, które mieszkańcy uważają za ciała skamieniałych olbrzymów, jest ojczyzną białozora. Przed kilku laty sokolniczy angielski, sławny John Barr, którego znaliśmy, zakapturzył 14 tych wspaniałych sokołów białych i zawiózł je do Anglii, gdzie płacono za nie wagą złota.

Danija odznacza się bardziej jak Szwecya i Norwegija względną łagodnością klimatu, zbliżoną więcej do klimatu północnych Niemiec, toż fauna duńska jest równą temu krajowi. Prowodawstwo łowieckie w Danii jest bardzo rozumne i mogłoby nam służyć za wzór, nader zachowawczo ochrania ono istotnie zwierzyny. Przed dwoma laty leśnicy donieśli o zmniejszaniu się liczby głuszców, wnet rząd zabronił polowania na nie przez lat pięć. Można wszakże zarzucić prawodawcom duńskim zbytnią surowość w zupełnem zabronieniu pościgów, czem się dzieje, że polowanie pościgowe możliwe jest tylko u siebie. Trzeba więc posiadać ogromne przestrzenie, jak hr. Frisemborg, u którego wzięliśmy udział przeszłego roku w takiem polowaniu. Takich posiadaczów mało, więc polowanie pościgowe jest w Danii prawie niemożliwe.

Włochy. Po znakomitym artykule p. Artura Renault o łowach we Włoszech, umieszczonym w *Chasse illustrée* w Czerwcu przeszłego roku, sądzimy, iż wolno nam powstrzymać się od wznowienia tego przedmiotu.

Niepomyślne polowanie na niedźwiedzie.

(Z czeskiego czasopisma: „Lověna“, tłum. J. Ł.)

Przed kilku miesiącami wyruszyłem w badawczą podróż do polskich Karpat. Leśne gospodarstwo słynęło tam podówczas z dziewiczości kraju, niedostępności gór i chciwości ludzkiej. Zły duch wionął, w celu nabycia sławy i grosza, a podkopania cichej zasługi mężów szlachetnych. Patrzałem, jak sęp i gromada kruków zlecieli do tej ziemi, by nasycić się cudzem mięsem i z napełnionymi żołądkami ale z rozwianem pierzem pierzchnęli z tego kraju, który zniszczyć pragnęli ku własnej korzyści. Patrzałem, jak wódz z jasnem okiem na czele kilku szlachetnych bronił krainę górską — i jak rozradowały się góry, jak szczęściem rozpromieniła się bogini łowów. Ku niej zwróciłem się z ufnością, ona jednak, żem późno przybył na plac walki, niemiłościwie odwróciła się odemnie. W kim jednak wartko krąży krew myśliwska, mimo przeciwności wierzy w bogatą zdobycz. Skoro ważniejsze przeszkody usunięte zostały, ruszyliśmy na łowy. Majątek, w którym byłem gościem, jest rozległy i wybornie administrowany przez znakomitych mężów, obfituje nie tylko w lasowym, ale też w łowieckim względzie w mnogie nadzwyczajności.

Wyprawiliśmy się głównie na niedźwiedzie, mógł jednak paść dzik i wilk. W oznaczonym dniu siedliśmy na amerykański wózek i jechali kilka godzin w głąb gór do mieszkania nadleśniczego S., który od dawna był moim przyjacielem. Po uprzejmem przywitaniu i obfitem śniadaniu siedliśmy na konie i dążyli przez kilka godzin ku pewnej górskiej osadzie. Przed domem księdza zsiedliśmy z koni, gdzie nas gospodarz uprzejmie powitał i ugościł, a po krótkim odpoczynku udaliśmy się do niedalekiej kniei, zwanej „Hołoweczka“. Przedstawił się nam malowniczy obraz myśliwski. Na czele około 50 górali wiedzie stary gajowy z przewieszonym rogiem myśliwskim cztery ogary, które ze spuszczonymi ogonami ciągnęły się za nim. Psy to wysmukłe, wielkości małych wyżłów, nie wyglądające na to, iżby z drapieżnym zwierzem do walki stanąć i groźnymi dla niego stać się mogły. Widziałem naocznie, jak mały Wasza, psiarczyk nadleśniczego, wiódł je, a one chętnie dały się prowadzić i lizały mu ręce. Gdym się bliżej tym ogarom przypatrzył, dostrzegłem, że niejeden krwawy bój zwiedły, czego najlepszem świadectwem był

stary Szkizo, który miał łapy, uszy, a zwłaszcza całą mordę poszarpane. Wiodący psy stary Salitwa opowiadał nam, że Szkizo z Boreszem rozciągnęli rysia, a ze starą niedźwiedzicą groźną zwiedli walkę. Jak w każdej walce, gdzie zręczność największe ma znaczenie, gdy się pies rychło nie wywinie z łap niedźwiedzich, to już po nim.

Odgłos trąbki wysokiego tonu, roznosząc hasło po górach, kieruje psami, gońcami i myśliwymi. Gońcy już swą zewnętrzną postacią szczególne robią wrażenie. Noszą włosy długie aż po ramiona, niektórzy splatają swój czarny włos w warkocz; okryci ciemną gunią umieją niezmordowanie chodzić po wysokich górach. Śród tej rzeszy wynurzają się strzelcy na małych konikach. Obstąpiono wnet bliski miot, a psy ruszyły zaraz dwa dziki, z którymi przez łańcuch gońców w tył się przedarły. Niedźwiedzia w miocie nie było, przeto wsiedliśmy na konie i wrócili do gościnnego domu na noc. Wieczór nam zbiegł szybko przy szklance wina i opwiadaniu różnych myśliwskich zdarzeń. Ukazano mi łapy dwóch niedźwiedzi, które niedawno znaleziono, przechowane na pamiątkę. Była to niedźwiedzica z młodym, który zapewne, gdy się zeszli z trzodą dzików, wszedł w drogę groźnemu odyńcowi, a ten go strasznie ciął szablą. Piastun uległ, a niedźwiedzica, zwykle w obronie swych młodych groźnie się zastawiająca, rzuciła się gwałtownie na odyńca, który w tej walce niezawodnie odniósłby zwycięstwo, ale tymczasem trzoda dzików walką tą podrażniona, wpadła na niedźwiedzicę, ulegającą takiej przemocy, a rozsrożone warchlaki rozszarpały ją na kęsy.

Zainteresowało mnie również następne zdarzenie, chociaż na dowód prawdziwości jego żadne łapy nie służyły jako świadectwo: Pewien bojko, jak tam górałów nazywają, zaprzągł swe siwki do wózka i pojechał ze swym chłopakiem w góry po siano, które tam w kopicach pod dachem mają. Woły ciągnęły zwolna górską drogą wózek w górę, poganiał je chłopak, a gospodarz szedł ścieżką, dążąc za wózkiem. Niedaleko kopicy siana, silnie między czterma mocnemi tykami ustawionej i strzechą pokrytej, usłyszał w lesie łomot i wnet ujrzał w szybkim pędzie wypadającego niedźwiedzia, a za nim trzodę dzików. Nasz Iwan przeląkł się śmiertelnie, skamieniał w miejscu, ale tylko na chwilę, bo wnet skoczył i jak kot szybko wdrapał się na wysoką kopicę, gdzie się pod strzechę skrył. Ale o biada! Niedźwiedź jak błyskawica rzucił się za naszym Iwanem na kopice, a zmuszony tam zetknąć się z nieszczęsnym górałem, mógł go albo rozszarpać, lub z kopicy na dół zrzucić. Ale niedźwiedź wcale nie zważał na ukrytego bojka, więcej go zajmowała trzoda dzików, która tuż za nim następując otoczyła kopicę i poczęła siano na wszystkie strony rozrywać. Zrazu było to mysiowi obojętne, gdy wszakże kopica coraz bardziej się zniżała, począł złośliwie mruczeć i odważył się uderzyć łapą któreś z warchlaków. Los nieszczęsnego bojka był srogi — albo niedźwiedź, albo dziki musiały go rozszarpać! Jedno gorsze, jak drugie. Żegnał się już ze światem. W tem niedźwiedź jednym olbrzymim skokiem przesadził wszystkie dziki i znikł w gęstym lesie. Cała gromada dzików rzuciła się za nim i w jednem oka mgnieniu nie było ich ani śladu. Co nieszczęśliwy bojko wycierpiał w śmiertelnej trwodze! Nadciągnął chłopak, ale o niebezpieczeństwie jego nie miał wyobrażenia. Nałożono na wózek tyle tylko siana, iżby wygodnie siedzieć można, gospodarza zupełnie sił pozbawionego zawieziono do domu, gdzie wycierpiany strach rzucił go na długi czas na łoże. Zaiste dzieją się czasem nieprawdopodobne rzeczy.

Nazajutrz ruszyliśmy konno ku Sławsku, gdzie były świeże tropy niedźwiedzia na Trościanie. Zwolna wspinaliśmy się na grzbiet stromego Trościana, u którego stóp leżą uprawne role, gąszcze i pastwiska, szczyt zaś jego zarosły gęstym lasem. Wyborne to schronienie dla niedźwiedzia, tu ma się gdzie ukryć w lesie, a pastwą mu owce i inny żywy dobytek na bliskich pastwiskach i bujny owies na polach, gdzie niejednemu gospodarzowi znaczną czyni szkodę. Obstąpiliśmy miot. Mgła i deszcz tak były gęste, że chwilami strzelać nie było można. W tem psy się odezwały i trąbka myśliwska, bojki poczęli hukać, a wszystko to zlało się w muzykę, która mi serce radośnie podnosiła. W gotowości do strzału ścisnąłem w ręku sztuciec, a bystrym wzrokiem usiłowałem przeniknąć mgłę i deszcz. Wrzawa zbliżała się, niekiedy grom uderzył tak, iż na chwilę nic nie można było słyszeć. Z niecierpliwością wyczekuję, rychło li niedźwiedź się pojawi. Uważam jednak, że gon kieruje się w prawo, co też rzeczywiście się stało, ale wkrótce głos psów ucichł po za grzbietem Trościana. Gońce też oniemieli i tak napróżno wyczekiwaliśmy aż do końca miotu. Psy pognały innego zwierza, a niedźwiedź jeżeli był, nie ruszył zapewne śród deszczu z barłogu. Tak skończył się gon bez skutku. Przenocowaliśmy w górach, w Sławsku, u ruskiego proboszcza. Starzec ów zabawiał nas i gościł wybornie przez cały wieczór i ożywiał dobre nadzieje na dzień następny. Nazajutrz rano ruszyliśmy konno aż ku węgierskiej granicy. Zimno było przeraźliwe i obiecywała się pogoda. Zjawił się pobereżnik z wiadomością, że ma otropionego niedźwiedzia, znalazł bowiem w miocie owies świeżo wyżarty i zdeptany. Niedźwiedź zwykł siadać w owsie na zadzie i przedniemi łapami kłosy ku paszczy zgartywać. Tak posuwa się na zadzie coraz dalej, tworzy w owsie jakby koryto i zrządza podwójną szkodę. Miot był mały. Zaledwie gońcy huknęli, odezwały się też psy. A głos to był zupełnie inny, jaki słyszałem dawniej, jakiś bardzo głęboki, więc byłem pewny, że niedźwiedzia gonią. Stanowisko moje było takie, że jeden strzelec zupełnie wystarczał. Po prawej stronie stał mój przyjaciel S., który wołał do mnie, abym się w strzale nie spieszył. Że on przedemną nie strzeli, tego byłem pewny, ale po lewej stronie, ledwie o 40 kroków odemnie stał sąsiad z okazałym wyżłem, którego zapewne na niedźwiedzia zaprawić chciał. Temu niedowierzałem, a to z dwóch przyczyn. Naprzód było to wbrew regule brać wyżła, który po każdym strzale za zwierzyną pędzi tam, gdzie największej trzeba ostrożności, powtóre, że strzelec ten tak był zapalonym i rozgorączkowanym, że obawiałem się, aby kogo nie postrzelił, tem bardziej, że z halawy, na której staliśmy, wszedł w las, aby lepiej w miocie widzieć. Moje przeczucie spełniło się też. Głos psów się zbliża, już przedemną wrzawa, sąsiad na lewo zmierza się. Gdybym był o 15 kroków na przodzie, mógłbym wszystko widzieć. Gon idzie ku grzbietowi góry z lewej strony. Oddech we mnie się zaparł, z gorączkową niecierpliwością wyglądam chwili, w której ponury włochacz się pojawi. Sąsiad mierzy i widzę, jak głową kręci, wreszcie strzela i woła: „Są dwa, jeden idzie prosto ku werchowi“. Chwała Bogu, idzie ku werchowi, więc wprost na mnie. W tem coś się mignęło przedemną, to srokaty wyżeł skoczył po strzale

za zwierzem. Niedźwiedź zwrócił nim go dojrzeć zdołałem i uszedł bez strzału w tył między gońców. Drugiego niedźwiedzia postrzelonego psy goniły zaciekle. Ponieważ po strzale w tył się zwrócił, dobito go na linii gońców. Oba niedźwiedzie młode, ledwie dwuletnie. Myśliwy wprawdzie twierdził, że dla tego strzelił, bo niedźwiedź chciał się wykraść, ale strzał, który po obieleniu zbadałem, inaczej świadczył.

Wróciliśmy do domu. Po kilku dniach dano znać, że na granicy stary niedźwiedź kilka owiec rozdarł i że wpadł do stajni. Zapomniałem o niepowodzeniach i ruszyłem w góry. Miał to być praojciec wszystkich niedźwiedzi, jak strzelec twierdził, ogromnych rozmiarów. Liczono go na 6 do 8 cetnarów wagi, a może i więcej, łapy miał mieć bardzo szerokie i niezwykle długie. W każdym razie był to dzielny rycerz, niełatwo dający się pokonać. Jako pastwa służyły mu owce, bydło rogate i konie. Zajęliśmy kilka małych miotów, ale niedźwiedzia nie było. Pozostał jeszcze jeden miot, w nim musiał być. Zaledwie poczęto gonić, coś przeciągnęło nademną; poznałem, że to jakiś ogromny ptak drapieżny. Mierzę, w tem ledwie o 15 kroków odemnie wzleciał orzeł skalny tak wolno, iż zaledwie się wznosił. Rozmyślam czy mam strzelać w głowę, czy w ciało, aż tu ogary poczynają wściekle gonić. „Ha! to niedźwiedź“! pomyślałem i zaniechałem orła, który w bok uleciał, a potem nazad wrócił, spostrzegł mnie, uniósł się o 40 do 50 kroków nad moją głową, pazury ściągnął ku ciału i bystrem okiem na mnie patrzył, jakby chciał powiedzieć: „strzel, nie ujrzysz mnie więcej“, alem nie strzelił, bom wyczekiwał niedźwiedzia. Gońce się zbliżają, nadzieja słabnie, a głos psów nie był już tak zaciekły. W tem wysuwa się lis, prawie przed memi nogami staje, nasłuchuje, mając głowę w tył zwróconą. Tak byłem tym frantem i orłem otumaniony, żem się w odurzeniu na nim nie zemścił. Na tem zakończyło się polowanie na niedźwiedzia z zupełnem niepowodzeniem.

Nazajutrz mieliśmy polować na dziki, a możliwe też było spotkanie z wilkiem. Dwaj pobereżnicy obeszli z jednym dozorcą wcześnie rano miot i wytropili trzodę dzików, której wszakże, ponieważ świeżo przez wilka była zaniepokojona, prócz jednego odyńca nie zastaliśmy. W tym miocie nie jednego już dzika ubito. Stanąłem i czekam z niecierpliwością, wnet też gońcy się odezwali i psy spuszczono. Nagonka pędzi w oznaczonym kierunku i byłem pewny, że strzelać będę. W chwili, gdy nagonka dołem na mnie zwrócić się miała, padł strzał, za nim drugi. Nie rozumiałem co to za strzały; tłumaczyłem sobie je tak, że któryś z pobereżników szedł ku miejscu, gdzie zwierz bokiem lub w tył przejść mógł i chciał strzałami zwierza ku mnie napędzić. Ale wnet widziałem, że zwierz już po za mną się znajduje, czegom się wcale nie spodziewał. Teraz zrozumiałem, dla czego strzały padły z tej strony. Miot się skończył, a z gońcami przyszedł pan, który dalej po prawej stronie odemnie miał stać, ale nagle znalazł się śród miotu i z obu luf wystrzelił — do czego? — do niczego. Długo jeszcze słyszeliśmy gon psów, często nawet blisko, ale krótki dzień nie dozwolił nam zapędzać się w niedostępne miejsca. Wysłuchawszy gonu psów, ruszyliśmy zwolna naprzód i zatrzymali u działu, gdzie sprawdziliśmy, że goniony ogromny odyniec, któremu z paszczy farba ciekła, przez psy napędzony, w tył do miotu się wrócił. I psy też aż tu doszły. Jużeśmy dłużej nie polowali. W ogóle ja i mój przyjaciel byliśmy w skutek niepowodzenia tak usposobieni, iż niczego bardziej nie pragnęliśmy, jak być najrychlej w domu, gdzieśmy się oddali leśnictwu z lepszym skutkiem.

B.

KORESPONDENCYE.

Z nad Sanu.

Polowania są różnego rodzaju i w różny sposób się odbywają, jedni polują na dziki, drudzy na jelenie i t. d. a inni — na ludzi; ja zaś należałem zawsze do myśliwych, którzy z półmiska doskonale strzelają i mogę zaręczyć, że ani razu nie spudłowałem. Nieraz wszakże znajdowałem się w gronie myśliwych i miałem sposobność nasłuchania się różnych opowiadań, którym nie bardzo wierzyłem. Owa ta niewiara była zapewne powodem, iż Waszego Łowca nigdy do rąk nie brałem. Obecnie różne względy zapędziły mnie w kąt Dobromilskiego powiatu, między Sanockim a Przemyskim, nad San, do zacnego obywatela, gdzie cnoty polskie nie wygasły, a cudzoziemczyzna i nowatorstwo nie zakażają serca i umysłu, gdzie właściciel ziemski nie jest panem, lecz ojcem i opiekunem włościan, których radą i czynem wspiera. U niego to znalazłem wiele pism różnorodnej treści, a ponieważ lubię czytać, z przyjemnością czytałem je, aż wreszcie wziąłem też Łowca do ręki. Istotnie rumieńcem wstydu powlokło się moje oblicze, gdym się przekonał, jak mylnem było moje mniemanie o tem piśmie. Sądziłem, że znajdę w niem błahe, bez znaczenia i treści rozprawki i dykteryjki, a rozczytawszy się musiałem czoła uchylić wobec powagi i istotnej pożyteczności tego pisma, które nietylko daje zdrową naukę, wkraczając w dziedzinę łowiectwa i przyrodnictwa, szerzy wiedzę teoretyczną i praktyczną, ale też nastraja ducha czytelnika swobodą i pogodą, przywodząc różne opowiadania z życia i doświadczeń myśliwych, które noszą na sobie cechę prawdy i prawdziwej wartości.

Otoż kilka takich opowieści, których byłem naocznym świadkiem, postanowiłem wam przesłać. W r. 1853. bawiłem przez jakiś czas w Siemieńcu niedaleko Parczewa, należącym niegdyś do hr. Małachowskiego, sławnego w swoim czasie myśliwego. Tabor jego myśliwych robił nieraz wycieczki nie tylko na kilkodniowe, lecz na paromiesięczne polowania, z wszelkimi przyborami łowieckimi, z furgonem kuchennym na ten cel urządzonym. Nie brakło więc przedmiotu do ciekawych opowieści, najczęściej bardzo rozmijających się z prawdą. Tradycya owych fantastycznych opowiadań wpłynęła też na potomków owych bohaterów myśliwskich, jakoż miałem sposobność słyszeć np. taką opowieść: „Gdyśmy się ustawili na granicy lasów Lubartowskich, czekaliśmy dość długo na głos trąbki, oznajmiający podłożenie psów, gdy się wreszcie odezwał, spojrzałem jeszcze raz na kapsle (odtylcówek jeszcze wówczas nie znano) i rozglądnąłem się na wszystkie strony, a że dogodne miałem stanowisko, bo przed sobą dosyć daleko mogłem dojrzeć każdy ruch zwierza, wyczekiwałem okazania się jego. Psy grają

różnymi tonami, aż serce rośnie, strzały grzmią na prawem skrzydle, pojmiecie więc, jakiem uczuciem byłem przejęty, już i na lewem skrzydle padają strzały, a ja nic nie widzę. W tem wysuwa się przedemną 7 sarn, na przodzie jeden rogacz, a z tyłu dwa, zmierzam się do przewodnika, palę i kładę go na miejscu, kozy poszły w lewo. rogacze zaś w prawo. nie odejmując więc broni strzelam dwa razy do uciekających i powalam oba. Nie w tem sztuka, żem położył wszystkie trzy rogacze, bo wiecie, jak znakomicie strzelam (prawda! prawda! odzywają się głosy), ale w tem, żem był mocno zelektryzowany i mogłem łatwo chybić". Z zajęciem słuchałem tego opowiadania i gdy skończył nasz bohater, spojrzałem po słuchaczach, jakie wrażenie ta opowieść zrobiła i zobaczyłem, jak jedni się uśmiechali, drudzy głową kiwali. Jako młody byłem mocno zaciekawiony widzieć broń, która bez nabijania powtórnego pali trzy razy, więc idę między służbę i żądam strzelby pana Do... Wziąwszy do rąk zwykłą dubeltówkę wchodzę do pokoju i z całą naiwnością młodzieńczą pytam, jak to można strzelić trzy razy z takiej dubeltówki? Pan D. zbladł i widziałem, jak z jego oczów siarczyste gromy na mnie padły. Rozległ się ogólny śmiech i rzęsiste brawo. Przy obiedzie pito zdrowie pana D. jako niepospolitego myśliwego, a on nie mógł mi tego zapomnieć, czego miałem dowody po kilku latach przy spotkaniu się z nim w Warszawie.

Przeglądając numera Łowca, dostrzegłem, że macie z okolic Parczewa dwóch korespondentów, możeby który z nich zebrał szczegółowe wiadomości o zawodzie myśliwskim ś. p. hr. Małachowskiego, a byłyby one nader zajmujące, a nawet pouczające. Ciekawy byłby też opis gospodarstwa rybnego, założonego przez p. Jezierskiego w Siemieńcu, dziś należącym do p. Bier..., zięcia ś. p. hr. Małachowskiego.

Drugiego zdarzenia również zabawnego byłem naocznym świadkiem w Kongresówce (mniejsza o miejsce). Dwaj koledzy szkolni żyli obok siebie na wsi w najściślejszej przyjaźni, obaj zacni i szlachetni kochali się może lepiej jak bracia rodzeni, ta tylko zachodziła między nimi różnica, że pan A brzydził się prawdą, a pan Z. nieznosił kłamstwa. Jeden i drugi byli zawołanymi myśliwymi. Otóż pewnego razu zaproszono ich obu w sąsiedztwo na wielkie polowanie, w którem miały też wziąć udział panie, jako spektatorki. Pan Z. obawiając się, iżby jego przyjaciel w tak mięszanem gronie zbyt grubem kłamstwem nie skompromitował się, prosi go, aby powstrzymywał się w opowiadaniach od rażącej nieprawdy wobec kobiet, na co p. A. odpowiedział: „mój drogi, bądź zawsze przy mnie i gdy spostrzeżesz, że przesadzam, trąć mnie, choć wiem, że to nie nastąpi, bo tylko prawdę mówić będę". Polowanie odbyło się dosyć szczęśliwie, bo ubito znaczną ilość zajęcy, lecz innego zwierza, prócz lisa zabitego przez pana A., wcale nie widziano. Tryumf to był dla pana A. niemały. Przy obiedzie jedna z pań, słysząc pochwały oddawane naszemu bohaterowi, zapytała: „Czyż to tak trudno zabić lisa, mój mąż często przynosi je do domu, a nigdy nie słyszałam, iżby to na pochwałę zasługiwało, więc wypadek dzisiejszy był chyba nadzwyczajnym, niech go pan nam opowie". — „Bardzo chętnie pani dobrodziejko — rzecze pan A. — Zaledwie nagonka poczęła się rozstawiać, widzę, jak z pomiędzy skał wysuwa się lis, a że zbyt było daleko na strzał, staję cicho z zapartym oddechem, on też niespłoszony podchodzi bliżej, a miał kitę t. j. ogon długi może na 4 łokcie (przyjaciel trąca go pod stołem), no czterech łokci nie było, ale trzy niezawodnie (nowe trącenie), trochę przesadzam, bo trudno tak dokładnie zmierzyć, lecz kita była conajmniej dwułokciowa (trącenie pod stołem)". Opowiadający zrywa się z krzesła i utkwiwszy wzrok w przyjaciela woła: „a przecież bez ogona lis nie był". Wszyscy zdziwieni patrzą na pana A. i nie mogą pojąć, zkąd pochodzi jego zaperzenie. Pan A. usiadłszy spokojnie już zakończył swoje opowiadanie. Po obiedzie ciekawe panie chciały się dowiedzieć, jaki był powód wybuchu pana A, wyjaśniono im rzecz i zagrzmiał choralny śmiech, który pana A. tak rozgniewał, iż w szalonem wzburzeniu miotał się na swego przyjaciela i chciał natychmiast wyjechać, ale towarzysze z niemałym trudem zdołali go uspokoić i przebłagać, a staropolskie „kochajmy się" rzuciło ich w serdeczne objęcia. Odtąd był pan A. prawdomowniejszym, ale między myśliwymi tej okolicy pozostał zwyczaj trącania opowiadającego, gdy widocznie wpadał w przesadę.

Oto gawęda może nie ciekawa, ale prawdziwa — czem mogę, tem służę, i to zapewne się przyda choćby do rozchmurzenia troską zasępionego czoła. *W. W.*

Ze Lwowa.

Zaszczytnie znany w literaturze polskiej p. W. Koszczyc, przebywając przez dłuższy czas na Wschodzie pod nazwiskiem Sahi-Bey, oprócz wielu ciekawych szczegółów o faunie i obyczajach łowieckich wschodu, opowiedział mi rzecz nader ciekawą o używaniu przez plemiona Kurdów, lwów armeńskich, układanych do łowiectwa. W ogóle ludy wyznające Islam, mimo wielkiej swej pasyi do łowiectwa, nie używają z powodów religijnych palnej broni na dzikiego zwierza, powinien on być nożem zarznięty. Turcy, Persowie i Czerkiesi chwytają czworonożną zwierzynę chartami, a skrzydlatą sokołami i jastrzębiami. Charty i ptaki są tak ułożone, że przytrzymują ujętą zwierzynę nie dusząc jej, poczem myśliwy zarzyna ją. Kurdowie armeńscy, nieposiadając chartów, używają w tym celu lwów. Lwiątko, najlepiej ślepe jeszcze, porwane z gniazda, karmi się mlekiem koziem lub oszczenionej suki. Do roku igra sobie lwiątko z dziećmi lub psami domowymi swobodnie, nieznając więzów lub klatki. Następnie poczyna się dresura na drobiu lub pomniejszej trzodzie domowej. Wyłącznem pożywieniem takiego lwa są głowy baranie lub kozie, gdy młody, dostaje lewek jedną głowę dziennie, na trzy części podzieloną, rano, w południe i wieczorem. Z postępem wieku dostaje dwie głowy, nigdy zaś więcej, jak trzy. To karmienie głowami wyłącznie, zawsze nieświeżemi, ma pewną racyę. Lew taki, mówią Kurdowie niezna krwi, której w głowie niema, nigdy więc jej nie zapragnie, oddaje przeto chętnie łup przez się pochwycony człowiekowi. Lew dresowany do łowów w porze ciepłej chodzi wolno, nawet poza obrębem ogrodzenia, gdy zaś nadejdzie pora zimowa, która lubo znacznie łagodniejsza, jak europejska, dla lwa jest dotkliwą, staje się drażliwy i zły, więc go upinają na łańcuchu pod dachem. Może tę drażliwość powoduje cieczka, poczynająca się tam u lwów przed rozpoczęciem pory deszczowej, a wtedy tam jest bardzo chłodno.

Drużyna myśliwych wyrusza na łowy, wiodąc ze sobą na smyczy jednego lub kilka lwów. Armenija w pewnej części jest gorzystą, pełno tam skał, wąwozów i przesmyków między gęstemi zaroślami. Podłożona zgraja psów, wcale kształtem do naszych ogarów nie podobna, ani też tak hałaśliwa, poczyna buszować po zaroślach. Lwa lub lwów stawiają na przesmykach lub ścieżynkach. One znając służbę przywarowują czyli kładą się na ziemię. Naraz odezwały się chrypliwe, nieharmonijne głosy psów, lew dotąd warujący podnosi się nieco, przybierając brzydką, bo przyczajoną postać do skoku na swą ofiarę lub pomknięcia za nią. Różnią się lwy od tygrysów, lampartów, panter a nawet indyjskich geppardów, osobną rasą lampartów,

układanych do łowów. Wszystkie rasy tygrysów chwytają swe ofiary sposobem kocim w miejscu. Gdy pierwszy skok się nie udał, nie ścigają uchodzącej ofiary, lwy zaś łowią z miejsca i w poskoku.

Stado antylop i jeleni, których tam różnych gatunków wiele, wypłoszone z zarośli, zwykłym swym przesmykiem lub ścieżynką przemyka w inną stronę zarośli lub w czystą puszczę. Złą wybrały drogę, tam czatuje lew, jednym skokiem chwyta w swe ostre pazury dorosłą antylopę, przyciska ją do ziemi, nie szarpiąc jej paszczą. Cały ród koci chwyta swe ofiary tylko pazurami przednich swych nóg. Wnet zjawia się myśliwy i właściciel oswojonego lwa i bez protestacyi z jego strony odbiera mu żywą zwierzynę i zarzyna ją. W dowód szczególniejszej łaski rzuca mu ćwierć głowy baraniej, z której róg strącono, lew pożera ją chciwie, obojętnie patrząc na krew, obficie z antylopy tryskającą. Ciekawością wiedziony, jak taki lew do łowów ułożony się zachowuje i łowi, ulokowałem się w pobliżu jego. Lew przywarował w zaroślach, przylegających do długiej lecz wąskiej halawy, były one gęste, dość wysokie. Nie wiedząc dokładnie, w którem miejscu czatuje, pilnie śledziłem wzrokiem, lecz nadaremnie. Lew warował tak spokojnie, że wiotkie krzewy nie zachwiały się nawet i nie zdradziły jego kryjówki. Po odezwaniu się psów zadrgały lekko krzaki, wtedy spostrzegłem go. Gotowy do skoku z przygarbioną nieco postawą, chłoszcząc boki ogonem, czekał. Naraz całą swą postacią wynurzył się i znowu zatonął w ich wnętrzu. Boleśne beknięcie antylopy było hasłem, że skok się udał, reszta stada pomknęła w gąszcze. Wróciliśmy do osady.

Piątego czy szóstego dnia wyruszyliśmy z tym samym lwem w inną stronę. Teren był więcej równy, krzaki rosły niewielkiemi kępami, między któremi rosła szczecinowata trawa. W jednej z tych kęp przyczaił się lew, ja zaś i właściciel jego w pobliżu. Aby widzieć w dali, miałem inżynierską perspektywę. Głucho — nic nie słychać. W tem w szalonym popłochu zjawiło się kilka antylop, od nas i od lwa dosyć daleko. Pomykały rączo, lew wypadł z ukrycia i drogę im przecinając pomknął. Nigdy nie zapomnę tego wspaniałego widoku. Gon lwa, to szalone, dalekie skoki, zakreślające olbrzymie łuki w powietrzu, żaden nie uszedł oku memu przez wyborne szkła angielskie. Po kilkudziesięciu takich skokach lew pokrył sobą jedną z antylop.

Pan W. Koszczyc opowiadając mi spokojnie, jak to w jego temperamencie, owe łowy z lwem dresowanym, zaanimował mnie do tego stopnia, iż zapomniawszy, że jesteśmy nie w puszczy Kurdyjskiej, lecz w cukierni Kosteckiego we Lwowie, wiercąc się zajechałem z krzesłem tak blisko opowiadającego, iż tenże przyparty do ściany zawołał: „Ależ pan nie lew, a ja nie antylopa, odsuń się nieco odemnie“.

Tem opowiadaniem chętnie się dzielę z czytelnikiem Łowca. *A.*

KRONIKA.

Po bliższem porozumieniu z Komitetem wystawowym Krakowskim postanowił Wydział gal. Towarzystwa łowieckiego urządzić swoją Wystawę obok leśnej i rybackiej. Wzywa przeto szanownych członków Towarzystwa, jakoteż posiadaczów czyto dawnych zabytków myśliwskich, czyteż nowszych na uwagę zasługujących przedmiotów, do działu łowiectwa należących, iżby nimi przyczynić się zechcieli do urządzenia i ozdobienia naszej Wystawy. Bliższego wyjaśnienia w tym względzie udziela Sekretarz Tow. łow. p. Władysław Zontak, oraz upoważniony do tego przez Wydział przyjmuje wszelkie przedmioty dla Wystawy nadesłane; Wydział zaś daje rękojmię, iż przedmioty na Wystawę nadesłane, po zamknięciu jej nieuszkodzone, bezzwłocznie Właścicielom odesłane zostaną.

W dniach 9. i 10. Lipca obradowała w Wydziale Krajowym ankieta nad projektem ustawy łowieckiej pod przewodnictwem członka Wydziału p. Bereźnickiego. Na trzech długich posiedzeniach dyskutowano nad kwestyonarzem Wydziału Krajowego i ostatecznie członkowie doszli do tego przekonania, że trzeba dalsze obrady odroczyć i pozostawić Wydziałowi Krajowemu wypracowanie Ustawy. Bliższą wiadomość o tej ankiecie podamy w obszerniejszym sprawozdaniu.

Stara piosnka myśliwska.

Otóż ponowa dla nas myśliwych,
Dzień jeden pono z tych to szczęśliwych.
Niech poorują gończe nasze,
Pojedziemy na objasze!
Na objasze! na objasze!

Tu ponad góry, tymi borami,
Stawaj Michale z swymi chartami:
Gracza weź na sznych do Wędki,
Gdyż on jest zanadto prędki!
Nadto prędki! nadto prędki!

Tu ponad bory, z tego padołu,
Zakładaj sieci z góry do dołu,
Ja tam stanę na tym tropie,
Ty dojeżdżaj dobrze chłopie!
Dobrze chłopie! dobrze chłopie!

Oto już słychać, Lutnia trafiła,
Szumlas poprawił, Wisła spędziła.
Na cy! Na cy! Pilnuj bieży!
Adam strzelił, dzik już leży!
Dzik już leży! dzik już leży

Tam jeszcze słychać odgłos Słowika,
A z drugiej strony kot się wymyka,
Hajże go! Dolotem, wędką!
A toż mi się spisał prędko!
Spisał prędko! spisał prędko

Jam zabił dzika, a ty rogacza;
A Janek lisa do torby wtracza,
Z tamtej strony ciągną wilka,
Więc zginęło zwierzów kilka!
Zwierzów kilka! zwierzów kilka!

Otrąb się na psy, daj im odprawę,
Bo jeszcze słychać Lutnią i Wrzawę,
Z tamtej strony strzelił Łapa,
Więc go Słowik pewno złapa!
Pewno złapa, pewno złapa!

Trąb pojezdnego, niechaj się schodzą
Ci, co tam w lesie po śniegu brodzą;
Siaki taki do flaszeczki
Bul! bul! bul! bul! gorzałeczki!
Gorzałeczki! Gorzałeczki!

Książe Józef Poniatowski, który pod wodzą wielkiego Napoleona polskim wojskom hetmanił, był nie tylko dzielnym generałem jazdy i najpiękniejszym mężczyzną w francuzkiej armii, ale także namiętnym myśliwym. Gdy francuzi w r. 1809. opanowali południową część Morawii, stał książe z swymi ułanami w Göding. Tu używał chwili spokojnej, jak długo trwało zawieszenie broni, ułożone w Znaim, do myśliwskich wycieczek, w których niejedną sztukę zwierzyny własną ręką położył. Pewnego dnia jednak okazała się nadobna Diana swemu ubóstwiającemu ją wielbicielowi nader niełaskawą. Mimo długiego i gorliwego poszukiwania nie znalazł jakiejkolwiek zwierzyny, ani czworonożnej, ani też lotnej (Któż z nas tego z wielkiem umartwieniem nie doświadczył?). W najgorszym humorze powrócił książe do domu, wyprawiwszy wprzód jeszcze swego strzelca z psem. Gdy się już zbliżył do miasteczka, spostrzegł na łące stado gęsi domowych, strzeżonych przez chłopaka wiejskiego. Przypadek zdarzył, że nagle pojawił się duży pies śród stada, rozprószył je i napędził ku pobliskiej rzece March. Wrzeszcząc i lamentując pędził za gęsiami chłopak, przejęty trwogą, iż jego dozorowi po-

wierzone zwierzęta mogą się pogubić lub w falach rzecznych zatonąć, Książe Poniatowski postanowił nieść pomoc biednemu malcowi i strzelił do przemykającego psa. Ale i teraz los myśliwski prześladował go, dzielny strzelec chybił ogromnego brysia, a trafił w sam łeb jednego z rozprószonych gęsiorów. Zaledwo tenże spadł, jawi się właścicielka gęsi, stara włościanka, z przeraźliwym wrzaskiem i poczyna żałośnymi jęki opłakiwać śmierć swego ulubieńca. Śmiejąc się z swego tragikomicznego niepowodzenia, starał się książe lamentującą niewiastę uspokoić, rzucając jej jako wynagrodzenie szkody bitego talara. Uniesiona szczęściem z powodu posiadania niespodziewanego tak znacznej sumy, rozradowała się stara, a spędziwszy całe rozprószone stado gęsi przed księcia, błagała usilnie, iżby je całe choćby do nogi wybić raczył. Książe Poniatowski, dziwnem zachowaniem się włościanki do serdecznego śmiechu pobudzony, spełnił jej prośbę i po każdym strzale do gęsi rzucał jej jednego talara. Stara, z pogardą śmierci narażając się na strzały, spędzała przytem rozpierzchające się gęsi przed księcia, a dziwne to polowanie zakończyło się wtedy dopiero, gdy wszystkie ptaki padły martwe. Niezmiernie rozradowana baba, uzyskawszy prócz zapłaty zastrzelone gęsi, opowiedziała ów wypadek swym sąsiadkom. Z tego wynikł taki skutek, iż odtąd wiele wieśniaczek zapędzało swe gęsi przed kwaterę księcia, a gdy się na drodze pojawił, krok w krok za nim chodziły, spodziewając się, iż zechce strzały do ich gęsi talarami opłacać. Przez wiele dni był książe Poniatowski przez całą armiję gęsi formalnie oblężony, aż nareszcie rozgniewało go to i kazał kilka natarczywszych kobiet zamknąć w areszcie. Starą zaś, która z swemi gęsiami tak wyborny zrobiła interes, zwano odtąd aż do końca jej życia srebrną gęsią *(striberna husa)*.

(Jagdzeitung). *Heribert Hülgerth*

W lasach Ołyckich księcia Radziwiłła ubito na polowaniach zimowych 6 łosiów, między nimi 4 klempy. Dwa największe łosie położyła księżna Radziwiłłowa. *Lovena.*

Pan Raul Dąbrowski jest twórcą strzelby nowego systemu, na który pozyskał właśnie patent na monarchię austro-węgierską i inne państwa. Zasługuje ona istotnie na dane jej miano „broni myśliwskiej uniwersalnej“ w zupełności i daje następne korzyści. W właściwy sposób, w prostym kierunku, cylindrycznie drążone, tylko 75 cm. długie, lufy, sporządzone są w sposób maszynowy, więc nieodmiennie co do wykończenia i działania, zupełnie gotowe do strzału. Lufy biją wszelkiego rodzaju śrótami z równą siłą, a umyślnie dla nich przez wynalazcę modelowaną kulą nader celnie na odległość 50—60 metrów. Oszczędność amunicyi wynosi, obok znakomitej przewagi strzałów w porównaniu z bronią wszelkich systemów obecnie używaną, 30 procent. *L.*

Z Tatrów. Przed 20 laty, gdy jeszcze każdy strzelec mógł swobodnie w naszych wysokich Tatrach za kozicami się upędzać, była ta zwierzyna bliską zupełnego wytępienia, gdyby w ostatniej chwili temu nieporządkowi energicznie tamy nie położono. Tylko długiej, ścisłej ochronie lat 15 należy zawdzięczać, że obecnie w porze letniej często w jednym dniu można widzieć kierdele, złożone z 30, 40 i więcej sztuk tej zwierzyny, (przy obławie przeszłorocznej przeszło koło mnie 74 sztuk i zrobiłem dubletę do dwóch kozłów), a bardzo często zdarzy się widok z niezbyt wielkiego oddalenia ucieszных igraszek, szczególnie młodzieży. Felka-Poprad jest ostatnią stacyą kolejową dla owych turystów, którzy pragną się udać do znacznie już wysoko w Tatrach położonego Schmeksu, a leży ona na równej, prawie bezdrzewnej wysoczyźnie, niemal $1\frac{1}{2}$ mili oddalonej od pasma lasu, ciągnącego się u stóp Tatrów. Tu zdarzył się w tych dniach dziwny, niezawodnie rzadki wypadek. Niedaleko odemnie mieszkający przyjaciel mój, nadleśniczy Ribiczey, zawiadomił mnie pewnego dnia przez gajowego, że jego ludzie wcześnie rano spostrzegli w otwartem polu bezsilną, od mrozu skostniałą kozicę i z niemałym trudem wpędzili ją aż na dziedziniec jego domostwa. „Kochany Ribiczey chce cię na dudka wystrychnąć“ — pomyślałem dążąc do niego, ale także, „czemużby to nie było możliwe?“. Z wielkiem zdziwieniem zastałem ogromną, starą kozę z jednym tylko rożkiem (drugi zapewne utraciła przy upadku w straszliwą przepaść), leżącą w kuchni. Po godzinie biedne zwierzę przyszło nieco do siebie i nagle, niespodzianie w szalonym skoku rzuciło się do okna. Z brzękiem rozprysły się szyby i nie mało znowu kosztowało trudu umieszczenie jej w stajni, gdzie też obecnie się znajduje. Kozica ta zupełnie już zdrowa, karmi się ją codziennie ciepłem mlekiem (na jedną dawkę 3 decylitry) i sianem alpejskim. Dodać też muszę że kozica wcale nie objawia wstrętu wobec człowieka i śmiało przyjmuje pokarm z jego ręki. Właśnie czytam notatkę w jednem z naszych prowincyonalnych pism, gdzie o tym wypadku krótka znajduje się wzmianka, a korespondent wyjaśnia go w ten sposób, że kozica z powodu straszliwych burz, które tu teraz szalały, straciła kierunek i zabłąkała się aż do nizin. Nie mogę zgodzić się z tem mniemaniem, przypuszczam raczej, że kozica nawet w takim razie nie mogła tak daleko się odbić, więc prawdopodobniejszem jest, iż może kołowacizną nawidzoną została. Felka 10. Lutego 1887. *R. Danhauser.*

Z Galicyi. Od kilku już lat zajęty leśnictwem w Galicyi, miałem sposobność poznać stan łowiectwa różnych jej okolic, rozpocznę przeto określenie stosunków myśliwskich mojej pierwszej stacyi służbowej, położonej w wschodniej Galicyi, w pobliżu granicy Węgier i Bukowiny. Obszar leśny S., w którym służyłem, zajmowała przestrzeni 40.000 morgów, i była połową lasów na równinie galicyjskiej, odległą około 5 mil od Stanisławowa, druga zaś połowa rozciągała się ku Karpatom. Pożyteczna zwierzyna składała się z niewielu zajęcy, małej liczby sarn i jeleni, przemykających z wielkich lasów sąsiednich, a dosyć często można też było spotkać dziki. Pożyteczne ptactwo stanowiły stosunkowo liczne jarząbki, głuszce i cietrzewie. Z szkodliwej zwierzyny znajdowały się mnogie lisy, niekiedy ryś i wilk, a nieraz też przechodził z węgierskiej strony pan boruta (niedźwiedź). Myśliwy wszakże musiał się tylko zadowolić urokiem, jaki daje polowanie na najróżnorodniejszą zwierzynę, nie licząc na bogatą zdobycz, bo właściwie mało jest zwierzyny, a jako przykład podam wykaz ubitej zwierzyny, z wyżej wskazanej przestrzeni leśnej. Obejmuje ona 6 mil kwadratowych, złożona z czterech posiadłości leśnych i dwóch dzierżawionych obszarów gminnych. Na tej przestrzeni ubijano rocznie około 100—120 zajęcy, 10—15 sztuk sarn, 20—30 lisów, 2—5 dzików, 30 kuropatw i tyleż jarząbków. Z rzadszej zwierzyny, jak ryś, wilk, niedźwiedź, głuszec, cietrzew, ubijano rocznie 1—3 sztuk. Liczby te wymownie świadczą o ubogim zwierzostanie. Polowanie odbywa się, jak zresztą wszędzie, z psami gończymi, które niezmordowanie zwierzynę prześladują, a nawet dziki ostanawiają. Tamtejszy mieszkaniec górski, zwany huculem, nie jest namiętnym myśliwym i kłusownikiem, a jest to dla myśliwstwa rzeczą pomyślną, ponieważ straż łowiecka nie możliwą jest dla nielicznego personalu leśniczego, który zbyt obciężony jest swoją czynnością zawodową W okolicy posiadłości S. są podobne stosunki łowieckie. Dalej ku równinom ma się dziać lepiej, nie mogłem wszakże o tem zasięgnąć bliższych wiadomości, tyle tylko sobie przypominam, że jadąc koleją żelazną w porze śnieżnej, w różnych stronach Galicyi, gorliwie z okna wagonu śledziłem tropy zwierzyny i mało ich znajdowałem. Przebywałem krótki czas w północnej Galicyi nad Wisłą, w pobliżu rosyjskiej granicy, tam drobnej zwierzyny i sarn dosyć wiele, ale tamtejsze polowania wcale nie mogą się równać nawet z najgorszemi na równinach lesistych krajów np. Czech lub Morawii. W moczarowatej okolicy nad Wisłą ma być dobre polowanie na zwierzynę wodną, w zimie pojawiają się wilki i dziki. Szkic ten pragnę zakończyć opisem stosunków łowieckich mojej dzisiejszej stacyi służbowej — niestety ostatnie najgorsze. Leśnik wynagrodzonym bywa za trudy swego zawodu w górach, gdzie jakiekolwiek życie towarzyskie nie daje mu choćby małej duchowej podniety, jedynie przyjemnością myśliwską, gdy i tej niema, to bywaj zdrów ty piękny lesie! W południowo zachodniej Galicyi, kilka mil od szczytów tatrzańskich, są najgorsze stosunki łowieckie, jakich możliwości nie możnaby przypuszczać. Mały, znajdujący się tam zwierzostan niepokojony tam przez cały rok, w dzień i w nocy, przez licznych strzelaczów, bo tamtejszy góral namiętniej oddaje się myśliwstwu jak hucul, u każdego z nich prawie znajduje się strzelba, a straż łowiecka jest niezmiernie trudna tak, iż najczęściej wcale bywa zaniechaną. Zwierzyna składa się z kilku zajęcy i lisów, małej liczby sarn i dzików, a grubej zwierzyny wcale niema, prócz tego jest nieco jarząbków, głuszców i cietrzewi. Myśliwstwo bardzo niewydatne i ubijamy na naszej 6000 morgowej przestrzeni około 15—20 zajęcy, 3—5 sztuk sarn, czasem dzika i kilka lisów, których wszakże niema tyle, ile w wschodniej Galicyi. Polowanie na galicyjskiej stronie Tatrów, których szczerbate szczyty zdala widoczne są z naszej równej wyżyny, ma być pomyślniejsze, są tam bowiem prócz wyżej wymienionej zwierzyny także kozice i bobaki w dosyć znacznej liczbie, również niedźwiedź i ryś nawidza górskie osady, zrządzając wielką szkodę w bydle. W ogólności podnieść należy zaletę myśliwstwa w Galicyi, że jest ono interesującem z powodu wielkiej różnorodności znajdującej się tam zwierzyny, jakkolwiek co do liczby nie jest wydatnem. Winę ubogiego zwierzostanu przypisać trzeba wielu przyczynom, dosyć znanym, nadmienię więc tylko, że wielka obojętność właściciela lasu i polowania największy ma w tem udział. Największa część lasów znajduje się w rękach spekulantów, którzy z nich tylko jak najwięcej pragną wyciągnąć zysku, żadnego kosztu nikt nie łoży w celu ochrony zwierzyny, a o przezimowanie jej nikt się także nie troszczy. W celu utrudnienia łowów należałoby zakazać polowania z psami gończymi, jak to się dzieje w Węgrzech, również polowania w nocy i na śniegu, jak w francuzkich Ustawach łowieckich jest przestrzegane. Wprowadzenie kart myśliwskich i ograniczone udzielanie certyfikatów na broń mogłoby także pomyślny wywrzeć skutek. Kończę szczerem życzeniem, by w ogólności nędzne stosunki łowieckie w Galicyi jak najrychlej się poprawiły, nim w niektórych okolicach zwierzyna zupełnie wytępioną zostanie.

Weidmannsheil 1. Grudnia 1886. *K. Weigl.*

P. R. Sz. Korespondent zapewne nic nie wie o gal. Towarzystwie łow. i jego usiłowaniach poprawienia stosunków myśliwskich. Sprawozdanie to nader krytycznie przyjąć należy, lubo nie mało w niem mieści się prawdy.

☛ **Upraszamy wszystkie krajowe Towarzystwa myśliwskie o wczesne podanie zmian, dotyczących ich organizacyi i zakresu działania, dla kalendarza myśliwskiego na rok 1888.**

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.